STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA KRAKÓW
www.spp-krakow.org

QUOD LIBET

ISSN-1897- 4856
Nr 02/2012
76

TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE

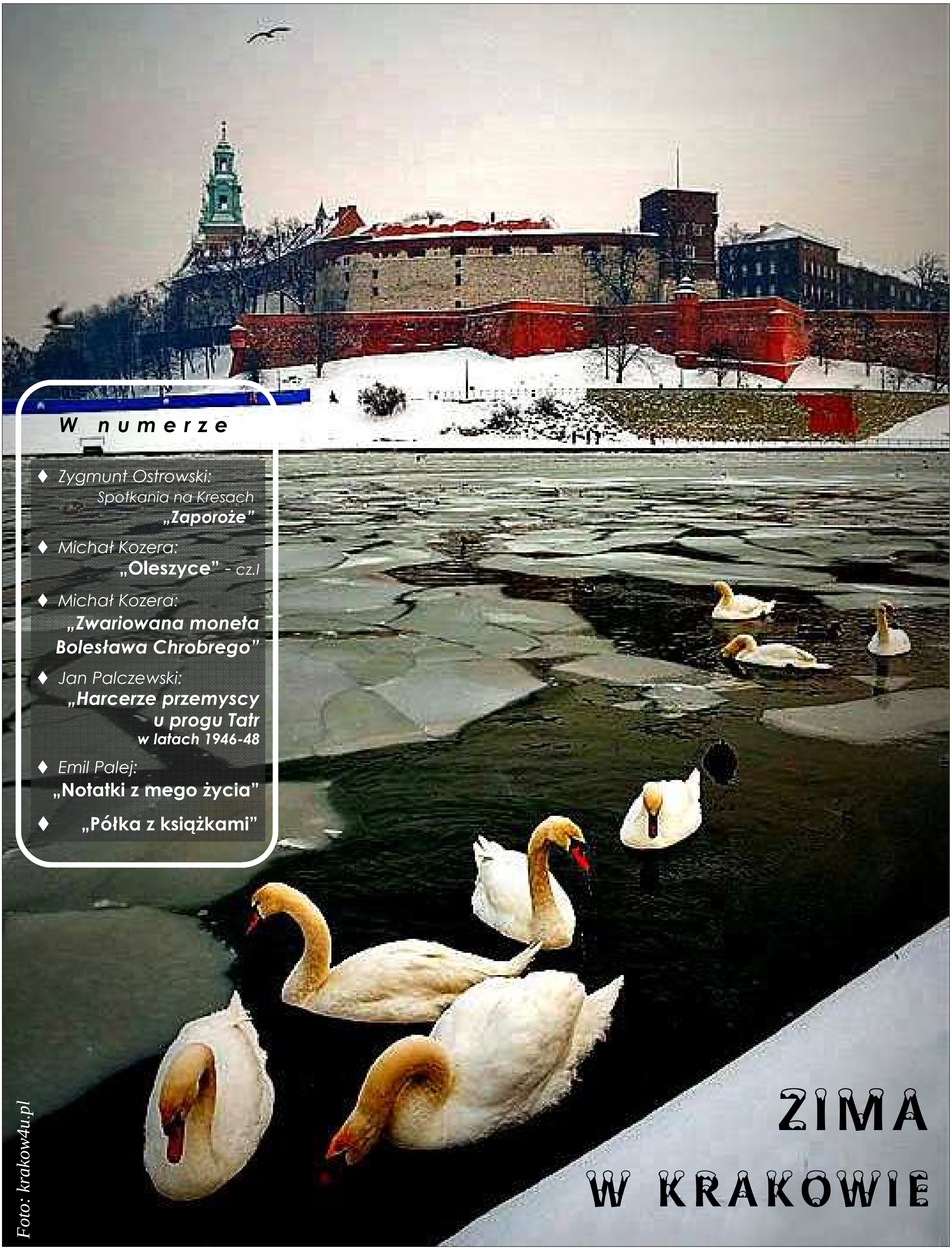
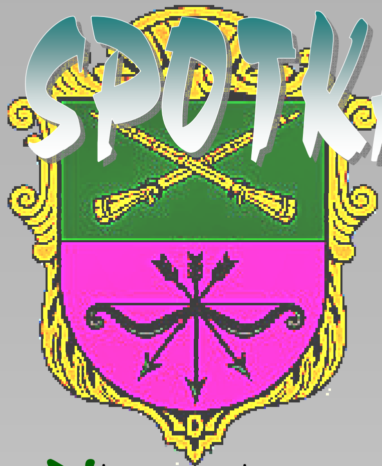


Foto: krakow4u.pl

W numerze

ZIMA W KRAKOWIE



SPOTKANIA NA KRESACH

ZAPOROŻE

Kraina historyczna za porohami na Dnieprze

Zygmunt Ostrowski
SPP – Warszawa

Nie zrozumiemy naszych przodków, którzy mimo zagrożeń ze strony Tatarów i Turków nieprzerwanie parli na Ukrainę, dopóki sami na Ukrainę nie pojedziemy. Jest to tak piękny kraj, że ja, 83-latek nie potrafię sobie odmówić pojechania niebawem na Ukrainę. W dniu 21 stycznia br. ksiądz Adam Przywuski kustosz Sanktuarium Matki Boskiej w Latyczowie organizuje „Festiwal Kolęd”, na który przybywają kolędnicy prawie z całej Ukrainy.

O porohach na Dnieprze czyli skalnych wysepkach słyszałem już w dzieciństwie. Na większych wyspach: Chortycy, Tomakówce, Bazawłuku kozacy zbudowali swoją „Sicz”. Był to obronny obóz kozacki na niedostępnych skałach. Opiewana w pieśniach kozackich „Sicz Zaporoska” została zlikwidowana częściowo przez Cara Piotra I, a ostatecznie w 1775 r. przez Katarzynę II.

Miastem o nazwie Zaporoże zainteresowałem się dopiero po II wojnie światowej, gdy w Polsce pojawiły się małe samochody produkowane w tym mieście o nazwie Zaporożec (ZAZ-965 - przyp. red.). Silnik tego samochodu był chłodzony dmuchawą, która w czasie pracy silnika nadmiernie hałasowała i dlatego Zaporożce nazywano też „Odkurzaczami”.

W 2007 r. obejrzałem w gmachu „Wspólnoty Polskiej” w Warszawie wystawę obrazów polskich artystów z Zaporoża. Kupiłem nawet 1 obraz w czasie likwidacji wystawy i poznałem artystkę panią **Olgę Pawluk**. Od niej dowiedziałem się, że w mieście Zaporoże mieszka dużo Polaków, którzy utworzyli swój Związek Polaków, a pani Olga zorganizowała Niedzielną Szkołę Polską, w której uczy polskie dzieci języka polskiego i kultury polskiej. Marzeniem polskich dzieci w Zaporożu jest pojechać w czasie wakacji na 2 tygodnie do Polski. Wspólnota Polska jednakże nie ma wystarczającej ilości pieniędzy na zorganizowanie wakacji dla wszystkich dzieci mieszkających po-



za granicami Polski. W związku z tym pani Olga nawiązała współpracę z Podstawową Szkołą na Lubelszczyźnie, która zaprasza dzieci polskie z Zaporoża na 2 tygodniowe wakacje.

A swoją drogą obecna Polska jest straszną macochą dla polskich dzieci mieszkających poza Polską. W sytuacji „niżu demograficznego" każde polskie dziecko na świecie powinno być objęte specjalną troską i Państwo Polskie powinno zapewnić polskim dzieciom na obczyźnie przyjazd do Polski i ukończenie szkoły średniej czy studiów wyższych.

Obecne miasto Zaporoże w carskiej Rosji nazywało się Aleksandrowsk, na cześć cara Aleksandra I. Natomiast nazwę „Zaporoże" miasto to otrzymało dopiero w czasach Związku Radzieckiego. Jest to duże miasto, które z okolicznymi miejscowościami liczy ok 1 milion mieszkańców. Jest olbrzymim ośrodkiem przemysłowym. Przemysł w tym mieście został zbudowany po II Wojnie światowej. Związek Radziecki rozbudował tu Huty „Zaporożstal" i „Dnieprospecstal". W mieście jest huta aluminium, przemysł chemiczny i koksochemiczny, włókienniczy, spożywczy i samochodowy. Po zbudowaniu przez ZSSR zapory wodnej na Dnieprze w miejscowości Kachowka, powstało sztuczne morze i Zaporoże stało się międzynarodowym portem morskim.

***

Obecnie pani Olga Pawluk jest przewodniczącą Związku Polaków na Zaporożu. Napisała kilka książek o Polakach mieszkających w mieście Zaporoże. Przedmowę do książki pod tytułem **„Losy Polaków Zaporoża"** (Zaporoże, 2006) zamieścił Konsul Generalny RP w Charkowie Grzegorz Seroczyński.

W książce tej pani Olga Pawluk najwięcej miejsca i czasu poświęciła panu Jerzemu Rozenbaumowi *(warszawski Żyd – druk wspomnień rozpoczniemy w następnych numerach QL – przyp. red.)*, pierwszemu Prezesowi Zaporożskiego Obwodowego Stowarzyszenia Kultury Polskiej.

Szanowni Czytelnicy

Oddawany do Państwa rąk tom, zawiera wspomnienia dotyczące czterech rodzin Polaków z Zaporoża. Wspomnienia te mają niebywałą wartość historyczną. Stanowią świadectwo miłości, przywiązania i trwania przy polskości ich Autorów mimo często ciężkich i gorzkich przeżyć. Są dokumentem więzi z Narodem Polskim, odbiciem emocjonalnych związków z językiem i polską kulturą.

Przytoczone w niniejszym zbiorze wspomnienia odzwierciedlają także warunki życia Polaków na zadnieprzańskiej Ukrainie. Z pewnością wspomnienia te są ważnym źródłem wiedzy o społeczeństwie współczesnym i o odchodzącym już pokoleniu, ale przede wszystkim jest to źródło autentyczne, bezpośrednie, pozbawione komentarza, dlatego tym cenniejsze.

Po lekturze niniejszych wspomnień nasuwa się myśl, iż wszyscy Autorzy, wraz z przywołanymi we wspomnieniach bliskimi, pozostali wierni polskości, gdyż czerpali siłę z głębokiej nadziei i wiary, że Ojczyzna – choć odległa o setki kilometrów – nadal jest ich Ojczyzną. Spisali więc te słowa, by tak, jak Mickiewiczowski chłopiec z Epilogu „Pana Tadeusza" zrobić z nich skrzydła i do swoich wrócić...

Grzegorz Seroczyński
Konsul Generalny RP w Charkowie

OBÓZ ZAPOROŻCÓW *Józef Brandt* (1841-1915)
Muzeum Narodowe w Warszawie





OLESZYCE

Michał Tadeusz K o z e r a

Są polskie miasta, których nie ma nawet w trzynastotomowej Wielkiej Encyklopedii PWN. Chociaż wydawałoby się, że tam o każdym mieście powinna być przynajmniej kilkuwierszowa wzmianka. A jednak. TAK NIE JEST!!!

Takim miastem są przykładowo:

OLESZYCE – *część I*

To stosunkowo nieduże miasteczko jest położone w północno-wschodniej części Województwa Podkarpackiego. Leży niedaleko miasta Lubaczów, około 35 kilometrów na północny-wschód od miasta Jarosławia.

Miasto nie powstało niedawno. Jego historia sięga co najmniej XVI wieku.

A mimo to...

Zajrzyjmy do źródeł pisanych. Na początek coś z początku XX wieku.

Tak opisał je dr. (To nie pomyłka. Dawniej skrót tytułu doktora pisało się z kropką. Teraz znowu wracamy do tej zasady. Czyżby pod wpływem gramatyki anglojęzycznej?) Mieczysław Orłowicz w „*Przewodniku po Galicyi*”, wydanym we Lwowie w 1919 roku:

***Oleszyce** (37 km., 206 m.[etrów] n.[ad] m.[orzem]), 3200 m.[ieszkańców], w tem 800 P.[olaków], 800 R.[usinów] i 1600 Ż. [ydów]. Oddalenie od dworca 1,5 km., dorożka 40 hal.[erzy]. Dom zajezdny Julii Pur, restauracya Józefy Bieniewskiej. Zamek niegdyś Sieniawskich, dziś Sapiehów, zbudowany w XVII w. przez jeńców tatarskich; obok park. W nowym kościele (1907) sarkofagi fundatorów Jana i Heleny Ramszów (XVI w.) oraz obraz M. B. Łaskawej. Koło miasta ślady dawnych okopów.*

Tu kilka słów wyjaśnienia. Opis Oleszyc pochodzi z czasów, gdy miasto leżało w obrębie terenów zajętych przez Austrię. Stąd dojazd dorożką z dworca kolejowego do miasta kosztował 40 halerzy. Oczywiście w walucie austriackiej: 1 korona = 100 halerzy. Inne dane będą wyjaśnione w kolejnym tekście, w następnym numerze Quod Libet.

Teraz przedstawmy opis miasta o kilka lat młodszy.

W „*Skorowidzu władz i miejscowości Rzeczypospolitej Polskiej*” *(vide QL nr 62 – przyp. red.)*, opracowanym przez Józefa Majewskiego i Witolda Błażyńskiego, a wydanym około 1923 roku nakładem Książnicy Naukowej w Przemyślu, Rynek 8-9, przez Tadeusza Bystrzyckiego (tu trochę prywaty: ten ostatni pan to był mój dziadek) znalazły się następujące informacje:

Oleszyce, miasto – *województwo lwowskie, Okręgowa Komenda Policji Państwowej we Lwowie, Urząd Starostwa i Powiatowej Komendy Policji Państwowej w Cieszanowie, Urząd Gminy na miejscu, urząd pocztowy i urząd telegraficzny na miejscu, stacja kolei, Sąd Okręgowy we Lwowie, Sąd Powiatowy lub Pokoju w Lubaczowie, urząd parafialny na miejscu.*

Oleszyce Stare, wieś – *województwo lwowskie, Okręgowa Komenda Policji Państwowej we Lwowie, Urząd Starostwa i Powiatowej Komendy Policji Państwowej w Cieszanowie, Urząd Gminy na miejscu, urząd pocztowy i telegraficzny na miejscu, stacja kolejowa w Oleszycach, Sąd Okręgowy we Lwowie, Sąd Powiatowy lub Pokoju w Lubaczowie, urząd parafialny na miejscu.*

Tu krótki komentarz. Oleszyce od 1918 roku znalazły się w obrębie odrodzonego Państwa Polskiego. Niestety nie znam dla tego okresu ani informacji o liczbie mieszkańców, ani nie wiem nic o jego zabytkach.

Spróbujmy zatem wstępnie ocenić czas powstania tego miasta. Posłużymy się w tym celu mapą Województwa Podkarpackiego, wydaną przez firmę *Copernicus* – z około 2002 roku.

Analizując układ istniejącej sie-

ci drożnej łatwo można zauważyć, że Oleszyce są położone przy drodze łączącej Sieniawę z Lubaczowem. Z kolei Lubaczów jest położony przy drodze łączącej Jarosław z Rawą Ruską.

To proste spostrzeżenie wskazuje, że Lubaczów jest starszy od Oleszyc. Bo Lubaczów leży przy drodze, do której droga z Oleszyc prowadzi pod kątem prostym. Zatem ta druga droga powstała później.

Zwróćmy uwagę na nazwy obu ośrodków miejskich. Nazwa Lubaczów należy do nazw kończących się na *-ów*, *-owa*, *-awa*. A nazwa Oleszyc należy do nazw kończących się na *-yce*, *-ice*.

Wiadomo z innych materiałów historycznych, że nazwy miast i wsi kończące się jak te pierwsze z tu podanych są starsze. Datuje się je zwykle na czasy pomiędzy VI a XIII wiekiem. Są to nazwy pochodzące od imion głównych założycieli lub głównych przywódców ówczesnych rodów słowiańskich. Przykładowo Kraków pochodzi od Kraka, a Warszawa od Warsa (występowanie jeszcze Sawy przy zakładaniu tego ostatniego miasta to czysty wymysł XIX wiecznych pseudobadaczy).

Dlatego możemy przyjąć, że założycielem Lubaczowa był Lubacz, ewentualnie Lubasz. Podobnie założycielem pobliskiego Cieszanowa był Cieszan. Obaj byli na pewno Słowianami.

Natomiast nazwy z końcówką *-yce* czy *-ice* pojawiły się po raz pierwszy gdzieś w XIV wieku. Były typowymi nazwami osad zakładanych przez króla Kazimierza Wielkiego czy jego następców. Zatem też mają słowiańskie korzenie. Tu tylko jest jedna trudność. Ich podstawowa część nazwy nie musi pochodzić od imienia, ale może także pochodzić od innych rzeczowników. Na przykład Proszowice pochodzą od *prosa*, które kiedyś było powszechnie uprawiane na tym terenie, a służyło do produkcji kaszy.

Nazwa Oleszyc może mieć zatem różną etymologię. Moim zdaniem jednak nawiązuje do imienia. *Olesz* – a raczej poprawniej *Oleś*. Jest to zdrobniała forma imienia Aleksander. Czy nazwę nadano na cześć jakiegoś założyciela prywatnego lub jego dzieci? A może na cześć jakiegoś króla (Jedyny król polski Aleksander panował w latach 1501-06. A może chodzi o jakiegoś władcę Rusi Czerwonej zwanej Rusią Kijowską, gdzie imię to było bardzo popularne?)?

Stąd już prosty wniosek, że Lubaczów, Cieszanów czy Sieniawa powstały przed XIII wiekiem, a Oleszyce najwcześniej w XIV wieku. I są związane z osadnictwem słowiańskim.

W tym miejscu możemy sprawę trochę skomplikować. Uważny obserwator mapy zauważy, że obok siebie są dwie osady. Jedna to wieś Stare Oleszyce, a druga miasto Oleszyce. Wyjaśnijmy zatem od razu. Nazwa z przymiotnikiem *Stary* jest starsza, a druga nazwa jest młodsza. Czyli, że wieś Stare Oleszyce powstała w pierwszej kolejności, a miasto Oleszyce założono w drugim etapie. Odstęp powstawania obu ośrodków może dzielić nawet kilka czy kilkaset lat. Wszystko zależy od układu zdarzeń historycznych.

Na współczesnej mapie możemy zauważyć jeszcze kilka innych dróg wychodzących z Oleszyc. W kierunku południowo-zachodnim prowadzi droga do Jarosławia. Z kolei w kierunku północno-wschodnim jest wytyczona droga do Cieszanowa, z pominięciem Lubaczowa. O innych, pomniejszych drogach nie wspomnę.

Wbrew pozorom nie są to drogi stare, powstałe przy zakładaniu Starych Oleszyc czy miasta Oleszyc. Ich powstanie należy najprawdopodobniej powiązać z czasami zaboru austriackiego. Wówczas to Austriacy wytyczyli cały szereg nowych dróg. Nie przypadkiem. Tereny wokół Oleszyc znalazły się w strefie nadgranicznej. Około 10 km na północ od miasta przebiegała granica austriacko-rosyjska. Nowe drogi były konieczne dla zapewnienia sprawniejszego przemieszczania wojsk na wypadek jakiegokolwiek konfliktu pomiędzy obu państwami. Przecież nie przypadkiem w nieodległym Przemyślu powstała jedna z największych twierdz austriackich.

Pamiętajmy, że Austriacy liczyli nie tylko na drogi. Rozwinęli w tym terenie także całą sieć lokalnych linii kolejowych, które także poprawiały możliwości transportowania wojska nad granicę. Dlatego miedzy innymi w sąsiedztwie miasta Oleszyce biegła linia kolejowa. Wspomina o tym chociażby wspomniany tu przewodnik Mieczysława Orłowicza. Z dworca kolejki do miasta trzeba było jechać dorożką a przyjemność ta kosztowała 40 halerzy.

Tu ciekawostka. Na pewno uważny czytelnik zwrócił uwagę, że z dworca kolei do miasta było 1,5 kilometra. Jeżeli kogoś nie było stać na dorożkę mógł tę odległość pokonać na piechotę. Dlaczego zatem nie doprowadzono kolei bliżej miasta?

Odpowiedź jest banalna, chociaż trochę zabawna. W każdym mieście o lokalizacji trasy kolei i ewentualnego dworca decydowały władze tego miasta. Kolej

jednak w tamtych czasach często była uważana za dzieło szatana. Na dodatek smrodliwe i niebezpieczne. Mogące nawet spalić domy (dawniej kolej była parowa, opalana węglem lub drewnem, a wydobywające się iskry mogły spalić wiele budynków, które bywały na ogół drewniane). Taka historia miała miejsce w jednym z miasteczek Księstwa Cieszyńskiego. Kolej odsunięto od tego miasta na 3 kilometry.

Był także powód czysto ekonomiczny. Poprowadzenie kolei przez tereny rolne obniżało mocno koszty zakupu gruntów. Z tym problemem spotykamy się także dzisiaj. Chociażby przy zakupie gruntów pod budowę jakiejkolwiek autostrady.

* * *

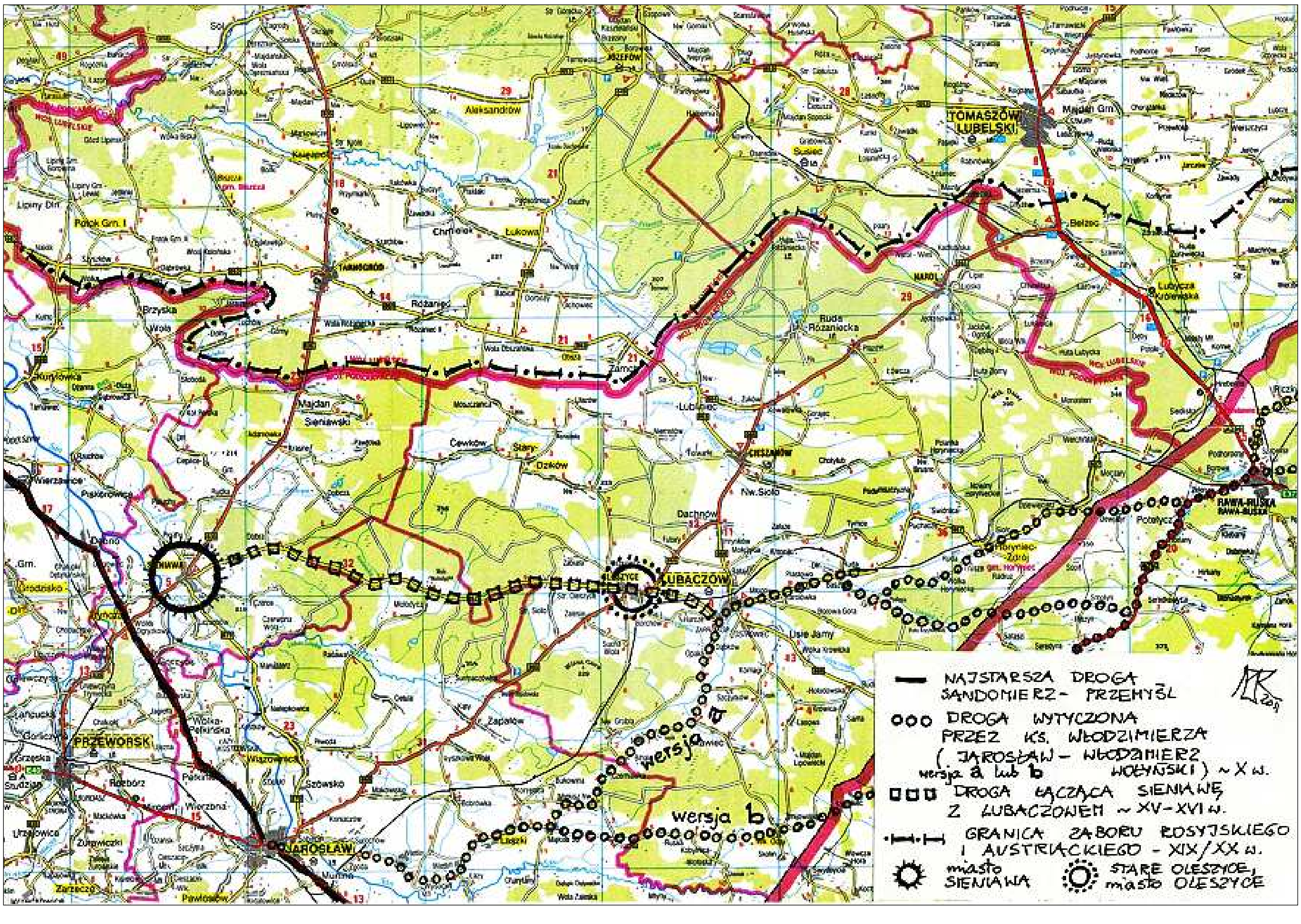
Na koniec tej części zwróćmy uwagę na jeszcze dwie ciekawostki.

Jedna jest dość banalna. Proszę popatrzeć na mapę. Znaczna część obecnej granicy województwa podkarpackiego i lubelskiego biegnie wzdłuż starszej granicy austriacko-rosyjskiej, z okresu zaborów. Wyjątkiem jest odcinek koło Tomaszowa Lubelskiego czy Lubyczy Królewskiej. Tak oto historia lubi zataczać koło.

Druga ciekawostka jest za to bardziej interesująca. Droga biegnąca przez Lubaczów może być częścią drogi, o której wspominałem przy omawianiu historii Przemyśla (o ile nie biegła trochę bardziej na południe – przez Drohomyszl). Przypomnę, że chodziło o wytyczenie przez księcia Włodzimierza lub księcia Jarosława Mądrego nowej drogi – około X wieku. Omijała ona trakt handlowy Kraków-Sandomierz -Włodzimierz Wołyński-Kijów, a zarazem trasę ataku Bolesława Chrobrego na Ruś Kijowską. Ta nowa droga biegła od Jarosławia przez Rawę Ruską Bełz do Włodzimierza Wołyńskiego (cały czas podaję nazwy osad współczesnych – dla ułatwienia zrozumienia analizy). Tym samym ta droga jest dowodem na to, że Jarosław (nazwa najprawdopodobniej pochodzi od Jarosława Mądrego – księcia kijowskiego) i inne osady na jej trasie były w obrębie Księstwa Kijowskiego. Zatem Przemyśl także był w tym księstwie. Stworzono ją najprawdopodobniej dla poprawienia komunikacji w Księstwie Kijowskim – z pominięciem traktu Sandomierz-Włodzimierz Wołyński. Podobnie jak zrobili to kilkaset lat później Austriacy tworząc szereg nowych dróg strategicznych.

W następnym odcinku: próba **odtworzenia rozwoju przestrzennego miasta Oleszyc.**

Kraków, grudzień 2011 roku



ZWARIOWANA MONETA BOLESŁAWA CHROBREGO

Michał Tadeusz Kozera

W numerze 73 Quod Libet ukazał się tekst Leszka Mariana Włodka pod znamiennym tytułem „Tajemnica początków miasta Przemyśla". W tekście zamieszczono miedzy innymi monetę z czasów Bolesława Chrobrego, która miałaby być dowodem na zmianę wyznania tegoż księcia (potem króla) z łacińskiego na prawosławne. Bo tekst na tej monecie został zapisany cyrylicą. A takiego alfabetu używano wówczas tylko w Rusi Kijowskiej. I tak powstał niniejszy tekst:

ZWARIOWANA MONETA BOLESŁAWA CHROBREGO

Moje podstawowe zdziwienie wzbudził fakt występowania imienia Bolesław po obu stronach monety. To jedyny znany mi taki przypadek w dziejach monet. I na dodatek imię polskiego księcia zapisano cyrylicą - alfabetem występującym wówczas tylko w Rusi Kijowskiej?

To zasugerowało mi, że jest to jakaś „fałszywka" – albo z epoki (z X-XI wieku) albo współczesna.

Sięgnąłem do literatury fachowej. W książce Józefa Andrzeja Szwagrzyka *„Pieniądz na ziemiach polskich X-XX wiek"* znalazłem ją wśród monet przypisywanych Bolesławowi Chrobremu. Zapisano tam, że jest to denar wybity w Kruszwicy lub w Czerwieniu lub w Krakowie. Został orientacyjnie datowany na lata 1010-1020. Ma średnicy około 18 mm i waży w granicach 1,39 do 0,99 grama. W 1990 roku (data wydania tej książki) znano 12 sztuk tej monety. Przy czym rozróżniono 3 odmiany. Dodajmy jeszcze jej opis, który będzie konieczny do dalszych rozważań:

Awers: *półpostać w stylu bizantyjsko-ruskim; napis cyrylicą: BOLESŁAW.*

Rewers: *krzyż patriarchalny; napis cyrylicą: BOLESŁAW.*

Porównując ten opis z odrysem monety w artykule Leszka Włodka znalazłem istotne różnice. Na rewersie po literach „BOLESŁAW" pojawia się jeszcze jedna litera przypominająca łacińską literę „Z", a na awersie napis jest dokładnie przedstawiony w dwóch wierszach. W górnym wierszu są trzy litery, które należy przetłumaczyć na litery łacińskie jako „AWA", natomiast w dolnym jest sześć liter, które tłumaczą się jako: „BOLESŁ". Oczywiście potwierdziło to tylko moje przypuszczenia, że moneta jest najprawdopodobniej fałszywa.

Nie dawało mi to jednak spokoju. Jeżeli moneta jest fałszywa, to po co stworzono tak nielogiczny układ napisu – na awersie najpierw koniec, a potem początek imienia Bolesława? Dlaczego widoczna na monecie postać nie ma żadnych insygniów władzy – jak mają monety innych władców z tego okresu – chociażby jakiś miecz czy jabłko czy berło? I po co umieszczano nietypowy krzyż wskazujący raczej na wschodnie pochodzenie?

Może Leszek Włodek ma rację sugerując chwilowe przejście księcia Bolesława na inną wiarę celem poślubienia siostry Świętopełka – Predsławy, a córki księcia ruskiego Włodzimierza Wielkiego?

Zacząłem szukać w literaturze. Głównie numizmatycznej. Może jednak moneta jest prawdziwa? Tylko kryje jakąś nietypową, ciekawą tajemnicę?

Pierwsze co udało się jednoznacznie stwierdzić to fakt, że krzyż patriarchalny występuje na monetach bizantyjskich z tego okresu. I to nie tylko Bazylego II (976-1025) (jak pokazano w przedmiotowym artykule L. Włodka), ale także innych cesarzy – chociażby Konstantyna VII (945-959). Po drugie strój postaci na monecie ma rzeczywiście bizantyjski charakter. Wierzchnie okrycie jest spięte specjalną spinką. Z kolei brak insygniów władzy może sugerować, że osoba przedstawiona na monecie nie była nawet księciem.

Przypomnijmy, że Bolesław zwany Chrobrym był księciem od 992 roku. Zatem to nie on jest przedstawiony na tej monecie. Jeżeli oczywiście rozumuję poprawne.

Kolejnej odpowiedzi udzieliły napisy występujące na obu stronach monety.

Zacznijmy od rewersu. Wokół krzyża patriarchalnego biegnie napis pisany cyrylicą: BOLESŁAWZ. Jak już pisałem wcześniej – zaniepokoiła mnie ostatnia litera tego napisu – czyli łacińskie „Z". Po co wśród liter pisanych cyrylicą umieszczać literę łacińską? Błąd rytownika?

Nagle mnie oświeciło. To nie jest łacińskie „Z", tylko pisana cyrylicą litera „I". Jednak odwrócona o 90°. Celem pokazania, że nie wiąże się ze słowem BOLESŁAW. Pisana jednak razem ze względu na brak miejsca na monecie. Zatem napis na tej stronie należy odczytać jako: „BOLESŁAW i".

Z kolei na awersie jest napis w dwóch wierszach, który czytając od lewej do prawej powinien brzmieć dosłownie: „AWA BOLESŁ". Jednak napis ten należy poprawnie odczytać w całości jako: „BOLESŁAWA". Prawdopodobnie rytownik najpierw napisał BOLESŁ, a resztę dopisał w drugim wierszu. Tyle tylko, że pod już wyrytym napisem było za mało miejsca i trzy litery umieścił wyżej.

To rodzi jednak kolejne pytanie. Dlaczego użyto imienia w formie odpowiadającej na pytanie: kogo? A nie w mianowniku.

Odpowiedź wydaje się stosunkowo prosta. Chodzi o brakujące słowo: SYNA. Zatem napis z awersu należy odczytać jako: [SYNA] BOLESŁAWA. Słowo SYN jest tutaj przedstawione w formie rebusu. W cyrylicy słowo to zaczyna się od „C", a przecież obrzeże monety ma kształt kolisty. Jego fragment to właśnie litera „C" (Podobna historia była przy opisie innej monety, gdzie C było ukrytą częścią napisu [C]OLONII - patrz jeden z wcześniejszych numerów Quod Libet).

Te rozważania prowadzą nas do odczytania całego napisu na obu stronach monety jako: **BOLESŁAW [i syn] BOLESŁAWA**. Przy czym postać na awersie należy uznać za syna Bolesława. Stąd brak insygniów władzy u przedstawionej postaci.

Znowu zajrzałem do literatury. Bolesław Chrobry miał dwóch synów. Pierwszego – Bezpryma – oddalił jeszcze przed 1000 rokiem i wysłał do klasztoru na Węgry. Drugi – Mieszko II Lambert – odziedziczył tron po ojcu w 1025 roku. Zatem ten ostatni mógł być tym wspomnianym synem. Tylko czemu nie został wymieniony z pełnego imienia? I dlaczego napisy są pisane cyrylicą, a nie alfabetem łacińskim?

A może chodzi o jeszcze innego syna? Nieznanego historykom? Tym razem zajrzałem do literatury historycznej. Wydaje się, że najoptymalniej powiązać tę monetę z wyprawą Bolesława Chrobrego na Ruś Kijowską – z 1018 roku.

Inni badacze już wcześniej zwrócili uwagę, że być może ta moneta była właśnie wybita w Czerwieniu, któ-

ry jest usytuowany niedaleko traktu z Krakowa przez Sandomierz do Kijowa. Czyli przy trasie, którą wędrowały wojska Bolesława Chrobrego. Chociaż wskazywano także mennicę w Krakowie (ówczesna stolica i główna mennica tego księcia) czy Kruszwicę (centralna mennica Wielkopolski lub Mazowsza?).

W literaturze historycznej nie ma żadnej informacji o udziale w tej wyprawie wojennej jego syna Mieszka!!!

Należy jednak zwrócić uwagę, że w tej wyprawie towarzyszył mu Świętopełk – syn Włodzimierza Wielkiego, a brat Jarosława Mądrego. Był on zięciem Bolesława Chrobrego!!! Wyprawa miała na celu ułatwienie Świętopełkowi odzyskanie tronu kijowskiego. Poza tym Bolesław Chrobry miał osobistą zadrę. Wcześniej wystąpił o rękę Predsławy, siostry Jarosława Mądrego. Ale dostał rekuzę (czyli mówiąc po polsku – odmówiono mu ręki księżniczki). Postanowił się zatem przy okazji zemścić.

Wiemy, że wyprawa udała się . Książę Jarosław Mądry został pokonany, a na tronie kijowskim Bolesław Chrobry osadził Świętopełka. Przy okazji pohańbił jego siostrę – Predsławę. Dodajmy, że w Kijowie Bolesław Chrobry przebywał od kilku miesięcy do około roku. Potem wywiózł wielkie łupy i około 800 jeńców (ci ostatni zostali odesłani dopiero za księcia Bolesława Śmiałego jako część umowy o zwrocie jeńców – z okazji ślubu tego księcia z kolejną księżniczką z Rusi Kijowskiej).

Ta krótka opowieść o wyprawie na Ruś Kijowską ściśle wiąże się – moim zdaniem – właśnie z tą monetą. Przy czym mam trochę odmienne zdanie o jej powstaniu od wcześniejszych autorów.

Przede wszystkim **moneta została wykonana, a potem wybita w Kijowie**, a nie w jakiejkolwiek mennicy w Polsce. Jej wykonanie **było związane z uhonorowaniem zwycięstwa Bolesława Chrobrego nad Rusią Kijowską**. Zatem **powstała w 1018 roku**. A wspomniany na niej „syn”, to po prostu jego zięć Świętopełk. Wszak nawet dzisiaj niektórzy teściowie mówią do swoich zięciów: „synu”. I nie jest to nic nadzwyczajnego.

Tyle tylko, że mincerz nie chciał najprawdopodobniej wyryć imienia wprost i posłużył się rebusem. Bo napis na monecie można również odczytać w wersji rozszerzonej: **BOLESŁAW i [Świętopełk, syn] BOLESŁAWA**. Pamiętajmy bowiem, że imię Świętopełk zaczyna się w cyrylicy od litery „C”. Zatem krawędź monety jest wykorzystana podwójnie – raz jako imię księcia *Świętopełka*, a drugi jako słowo *syn*.

Na koniec wyjaśnijmy pojawienie się krzyża patriarchalnego i stroju bizantyjskiego na podobiźnie postaci na awersie. Odpowiedź jest równie banalna, jak wcześniejsza analiza innych elementów monety. Włodzimierz Wielki przyjął chrzest w obrządku wschodnim – w 989 roku. Jego żoną była Anna, córka bizantyjskiego cesarza Bazylego II. Zatem elementy bizantyjskie na monecie były nawiązaniem do tej tradycji powiązania Świętopełka – syna Włodzimierza Wielkiego – z Bizancjum. Widoczny bowiem krzyż jest typowym elementem na srebrnych monetach cesarza Bazylego II (i innych, wcześniejszych). **Mincerz chciał stworzyć tradycję powiązania tej monety z Cesarstwem Bizantyjskim.** Poza tym w obiegu na Rusi Kijowskiej były monety cesarzy bizantyjskich – tak zwanych miliarensów (gwoli przypomnienia – nazwa wywodzi się od słowa tysięczna część, bo w Bizancjum był w obiegu: 1 solid = 1000 miliarensów).

Jeżeli już mówimy o rebusach, to nasunął mi się jeszcze jeden. Tyle tylko, że trochę abstrakcyjny. Może nie przypadkiem rytownik najpierw umieścił na awersie litery „AWA”? Wbrew temu co napisałem wcześniej. Wówczas te trzy litery mogłyby być pierwszymi literami słowa „awanturnik” (oczywiście pisanymi cyrylicą). Taka mała złośliwość ze strony mincerza. Ale to tylko hipoteza. Mogłaby jedynie świadczyć, że Świętopełk nie był lubiany w Kijowie. Mimo przejęcia władzy w 1018 roku. A nie wypadało tego pisać wprost nie chcąc trafić do więzienia – tak zwanej poruby (rodzaj drewnianej klatki bez drzwi – wyjście z niej było możliwe dopiero po rozrąbaniu konstrukcji – za pozwoleniem władcy).

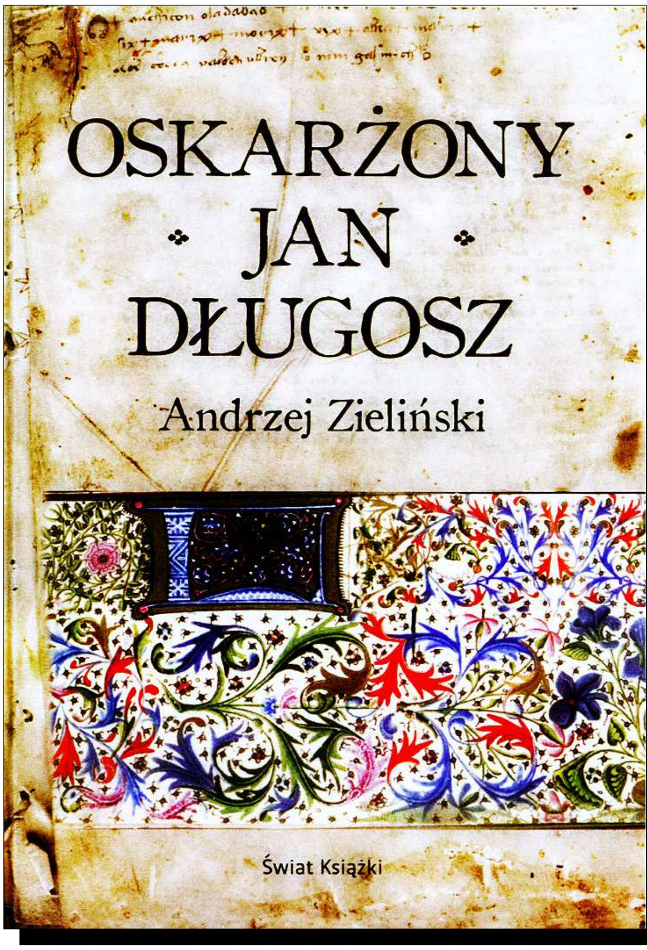
Zatem możemy między bajki włożyć koncepcję, jakoby Bolesław Chrobry zmienił wiarę na prawosławną. Choćby na krótko. W rzeczywistości moneta była wykonana na polecenie Bolesława Chrobrego w Kijowie w 1018 roku, ale podobizna na niej miała przedstawiać jego zięcia Świętopełka. Oczywiście w wersji schematycznej, uproszczonej. Była zatem monetą potwierdzającą przejęcie Księstwa Kijowskiego przez tego ostatniego – w duchu bizantyjskim. A dla łatwiejsze zaakceptowania przez ludność miejscową zawierała elementy znane im z innych monet bizantyjskich. Wcześniejszych. Wszak byli to w większości ludzie niepiśmienni i napisy miały dla nich małe znaczenie.

W związku z tą analizą powstaje następujący problem podstawowy. Czy jest to moneta, którą należy zaliczyć do wytworów Bolesława Chrobrego czy do mennictwa Świętopełka? Czy jest to moneta nowego księcia na Rusi Kijowskiej? Czy jest to moneta propagandowa? I jaką powinna mieć nazwę waluty: denar czy miliarens? A może jeszcze inną – lokalną, typową dla ówczesnej Rusi Kijowskiej?

I JAK TU NIE ZWARIOWAĆ?

Kraków, styczeń 2012 roku

Ps. Polemiki wymagałaby też teza o wiarygodności stwierdzeń Jana Długosza – kronikarza i kanonika krakowskiego (prezentowanych i cytowanych przez Leszka Mariana Włodka w tym samym tekście – Quod Libet nr 73 – str. 7-10). Odsyłam jednak do nowowydanej książki Andrzeja Zielińskiego „Oskarżony Jan Długosz”. Analizę zostawię jednak innym badaczom. Poczekam na wyniki nowych badań archeologicznych, historycznych czy architektonicznych.



Harcerze przemyscy u progu Tatr
w latach 1946-48

Niedawno (QL 06(72)/ 2011) opublikowaliśmy tekst Michała Kozery „Bieszczady 40", dotyczący znanej w swoim czasie (lata siedemdziesiąte) akcji harcerskiej.

Poniżej przedstawiamy wspomnienia Jana Palczewskiego z pierwszych lat powojennych. Autor, wraz z innymi przemyskimi harcerzami, uczestniczył wówczas w trzech obozach „u progu Tatr". Poznajemy codzienne zajęcia harcerzy; możemy również – w wyobraźni i z mapą w ręce – odbyć kilka interesujących wycieczek, o których opowiada Jan Palczewski.

Zwróćmy też uwagę na piękne zdanie kończące poniższy tekst: „Wypada tu wyrazić wdzięczność tym, którzy prowadzili młodych na górskie szlaki, a dziś nie ma już ich wśród nas".

Redakcja

Jan Palczewski

Obóz wędrowny w Tatrach
w sierpniu 1946 r.

Obóz został zorganizowany przez księdza harcmistrza Władysława Deca wspólnie z hufcowym przemyskim Franciszkiem Zajdlem, jako dodatek do akcji letniej roku 1946.

Należy przypomnieć, że główne obozy harcerskie tego lata (pierwsze po II wojnie światowej) urządzono w lipcu w miejscowościach Kamieniec Ząbkowicki (województwo wrocławskie) dla harcerzy ze szkół na Zasaniu oraz w Białej koło Trzcianki (województwo poznańskie) dla harcerzy z gimnazjum i liceum im. Słowackiego. Informacje o tych obozach można znaleźć w wydawnictwie „Z dziejów przemyskiego harcerstwa 1911-1981", będącym pracą zbiorową pod redakcją Stanisława Krakowskiego (Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1985). Natomiast o obozie wędrownym w Tatrach nie ma tam żadnych wiadomości, warto więc przedstawić tu trochę wspomnień zachowanych w pamięci.

Obóz nazwano wędrownym, miał jednak stałą bazę noclegową w drewnianym budynku braci albertynów na Krokwi. Znajdował się on dość wysoko ponad drogą z Kuźnic na Kalatówki. Przeor albertynów, niski, szczupły i niemłody już góral, podjął się prowadzenia uczestników obozu po szlakach tatrzańskich.

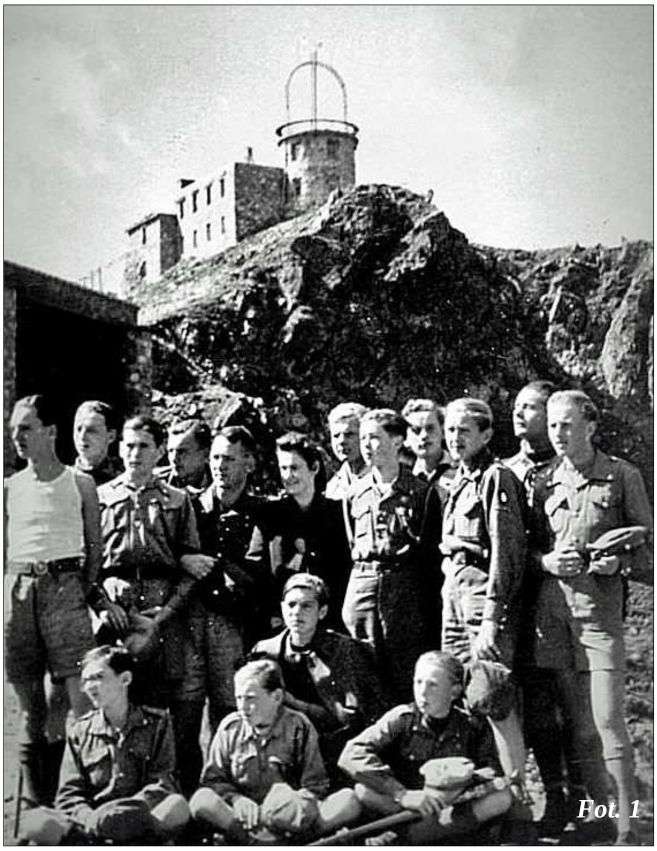
Bodaj pierwsza była wycieczka na Giewont i Czerwone Wierchy. Na szczyt Giewontu wybrano się szlakiem turystycznym przez Kalatówki, Kondratową Polanę i Kondracką Przełęcz. Spod stalowego krzyża na szczycie roztoczył się wspaniały widok na leżące w dole Zakopane, dalej na Pasmo Gubałowskie i hen aż ku rozłożystej Babiej Górze. Na druhach, będących pierwszy raz na wysokim szczycie tatrzańskim, widok ten wywarł wielkie wrażenie, tak jak i spojrzenie na urwisko północnej ściany Giewontu. Po krótkim odpoczynku udano się w dalszą drogę ku Czerwonym Wierchom. Wspiąwszy się dość mozolnie na Kondracką Kopę rozpoczęto wędrówkę trawiastym grzbietem na Małołączniak i potem ku Krzesanicy, nie dochodząc na jej szczyt. Druhowie znużeni kolejnymi podejściami zalegli pokotem w miękkich trawach gdzieś w rejonie Litworowej Przełęczy. Dobrze było tak leżeć, obserwując przesuwające się na niebie obłoki. Posiliwszy się zabranym na wycieczkę chlebem ze smalcem, zeszli wszyscy w dół przez Dolinę Kondratową.

Druga wycieczka prowadziła z Polany Kalatówki w górę zakosami na Przełęcz Na Patykach i Ścieżką nad Reglami na Sarnią Skałę; z niej był piękny widok na masyw Giewontu. Potem ścieżka biegła to w dół, to w górę w poprzek Doliny Strążyskiej i Doliny Małej Łąki na Przysłop Miętusi, a dalej do Doliny Kościeliskiej. Drogą w głąb doliny, przekraczając Bramę Kraszewskiego, uczestnicy doszli do Pisanej Polany, by kawałek wyżej skręcić do skalnego Wąwozu Kraków. Tam obejrzeli Smoczą Jamę, ugasili pragnienie wodą z jaskini wodnej pod śpiącym rycerzem i zawrócili. Czekała ich długa droga powrotna przez Dolinę Kościeliską do jej wylotu w Kirach, skąd Drogą pod Reglami doszli do Kuźnic. Zmęczeni podchodzili wolnym krokiem drogą ku Kalatówkom. A z góry schodziła właśnie w zwartym szyku żeńska drużyna harcerska, śpiewając wesołą piosenkę. Jej melodia i słowa zapadły niektórym w pamięć, a po latach wyjaśniło się, że była to drużyna z Chrzanowa.

Trzecia wycieczka, dnia 29 sierpnia, miała za pierwszy cel wejście pieszo na Kasprowy Wierch przez Myślenickie Turnie. Na szczycie Kasprowego zrobiono wspólne zdjęcie na tle stacji meteorologicznej (fot. 1). Widoczni na nim druhowie to: wśród stojących pierwszy od lewej – Andrzej Podhalicz, drugi – Zbigniew Szłapa, piąty – hufcowy Franciszek Zajdel z żoną, siódmy – Kazimierz Wiater, ósmy – Jan Palczewski, dziewiąty – Zbigniew Majewski, dziesiąty – Ludwik Śmigielski, dwunasty – Roman Uruski. Klęczy w środku Tadeusz Rybicki. Nazwiska pozostałych zatarły się w pamięci.

Z Kasprowego Wierchu druhowie udali się szlakiem granicznym na Świnicę, a potem zeszli z Przełęczy Liliowe na Halę Gąsienicową i do Kuźnic.

Wakacje dobiegały końca i należało wracać do Przemyśla, aby rozpocząć kolejny rok szkolny.


Fot. 1

Obóz harcerski w Sieniawie koło Nowego Targu w 1947 r.

(we wspomnieniach autora)

W lipcu rozpoczął się wakacyjny obóz dla drużyn harcerskich z Przemyśla-Zasania, to znaczy I Drużyny im. Gen. Dezyderego Chłapowskiego i XI Drużyny im. Adama Mickiewicza. Drużynowym Jedynki był druh Kazimierz Wiater, z Jedenastki druh Janusz Homplewicz. Organizatorem i komendantem obozu został ks. Harcmistrz Władysław Dec. Na miejsce obozu wybrano, w uzgodnieniu z władzą miejscową, teren sąsiadujący z zabytkowym, drewnianym kościółkiem z XVIII w. we wsi Sieniawa. Była tam duża łąka, używana jako boisko do gry w piłkę nożną. Z jednej strony ograniczało ją koryto potoku, zarośnięte krzakami, wśród których ustawiono wojskowe namioty z demobilu amerykańskiego. Po przeciwnej stronie teren wznosił się i był częściowo trawiasty, a w większości porośnięty gęstym lasem. Na tym trawiastym zboczu urządzono kuchnie polowe i ławy do spożywania posiłków, tam też odbywały się próby orkiestry dętej. Bliżej lasu znajdowało się miejsce do urządzania ogniska. Program dzienny przedstawiał się następująco: rano był apel i wciągnięcie sztandaru na maszt. Po czym ks. Dec odprawiał mszę św. w kościółku, w której brali udział wszyscy uczestnicy obozu. Druhowie śpiewali, ja przygrywałem na zabytkowych organach o jednej klawiaturze ręcznej, nożnej nie było. Po mszy śniadanie, potem zajęcia terenowe aż do pory obiadowej. Z reguły wychodziliśmy grupowo na wycieczki w otaczające Sieniawę górskie lasy, najczęściej porastające zbocza grzbietu podhalańskiego, albo na bardziej połogie zbocza rozciągające się między linią kolejową Chabówka-Nowy Targ a szosą zakopiańską. Wędrówki przez lasy łączyły się ze zbieraniem obficie tam owocujących borówek (czarnej jagody), którymi objadaliśmy się. Dodatkową nagrodą po wspięciu się na grzbiet Janiłówki był widok na Tatry. Zazwyczaj można było dostrzec tylko zarys wysokich szczytów tatrzańskich, gdyż nad kotliną nowotarską powietrze o tej porze roku było mało przejrzyste. Wędrówki w stronę szosy zakopiańskiej wymagały dojścia wpierw do drogi przecinającej wieś, a następnie przekroczenia toru kolejowego, którym co parę godzin przejeżdżały pociągi. Te jadące w stronę Nowego Targu i Zakopanego pięły się mozolnie do Przełęczy Sieniawskiej, oddzielającej Gorce od Pasma Podhalańskiego. Parowozy ciągnęły wagony sapiąc ciężko pod górę. Natomiast pociągi wracające z Zakopanego zjeżdżały szybko z przełęczy, kierując się w stronę Chabówki. Gdy po trawiastych zboczach dochodziliśmy do szosy zakopiańskiej, podziwialiśmy jej starannie ułożoną nawierzchnię z kostki granitowej. Ruch samochodowy w tamtych czasach nie był natężony. Na obiady wracaliśmy do obozu. Były na ogół smaczne, ponieważ gotowaniem zajmowały się panie – matki harcerzy, a wśród nich żona profesora gimnazjalnego p. Krysińskiego. Profesor uczestniczył też w obozie jako opiekun młodzieży, chodził z nami na wycieczki, a wieczorem brał udział w ogniskach. Po obiedzie była chwila ciszy, później zwykle odbywała się próba orkiestry. Dęta orkiestra harcerska utworzona jesienią 1946 roku przy I drużynie ZHP liczyła ponad 30 członków. Stałą pozycją urozmaiconych programów ognisk były gawędy, zwykle komendanta ks. Deca, rzadziej prof. Krysińskiego. Po nich śpiewano pieśni, wykonywano skecze, odbywały się różne zabawy. W ogniskach brała udział także ludność miejscowa, zwłaszcza dzieci.

Jak wcześniej wspomniałem, łąka w centrum obozu nadawała się do gry w piłkę nożną. Znaleźli się wśród harcerzy jej amatorzy, a gdy dowiedzieli się, że w sąsiedniej wsi Raba Wyżna istnieje wiejski klub sportowy, zaproponowali rozegranie meczu. Wygrała nasza reprezentacja. Urażeni w swej ambicji sportowcy z Raby Wyżnej przyjechali na rewanżowe spotkanie do Sieniawy i rozegrali je bardzo ostro, nie oszczędzając naszych zawodników. Wynik był wysoki na naszą niekorzyść.

Na tym nie skończyły się nasze przegrane. A było to tak. Pewnego dnia do druha stojącego na warcie podszedł nieznany harcerz i wręczył mu topór wykonany ze złączonych ze sobą płatów kory sosnowej. Pomiędzy nimi znajdowała się kartka z wypowiedzeniem nam wojny przez „Bajeranów". Praktyka takich gier wojennych była znana wśród wakacyjnych obozów harcerskich. My jednak nie spodziewaliśmy się niczego takiego, bo nie słyszeliśmy, żeby w najbliższej okolicy znajdował się inny obóz harcerzy. Wiedzieliśmy natomiast, że wojnę wygrywają ci, którzy potrafią podejść niepostrzeżenie do obcego obozu i zdobyć jego sztandar. Było więc trochę poruszenia w naszym obozie nowiną o wypowiedzeniu nam wojny przez zupełnie nieoczekiwanych sąsiadów. Chyba jednak nie przejęto się zbytnio tą wiadomością, bo nie wzmocniono nocnych wart, a teren obozu był rozległy i niełatwy do upilnowania. Okoliczność tę wykorzystali przeciwnicy, którzy rozpoznali położenie naszego miejsca pobytu, najprawdopodobniej podchodząc pod wieczór od strony przylegającego doń gęstego lasu, gdzie zaczaili się. Nocą zaś – widząc, że nasz wartownik w pobliżu masztu drzemie – wysunęli się z zarośli, podeszli bezszelestnie, odpięli sztandar i ulotnili się. Rano wraz z pobudką doszła do naszej świadomości bulwersująca wieść: jesteśmy pozbawieni sztandaru. Nie pozostało nic innego, jak szukanie sprawców zdarzenia. Podczas narady kierownictwa postanowiono zwrócić się do mieszkańców Sieniawy z pytaniem, gdzie może się znajdować inny obóz harcerski, a następnie skierować tam zwiadowców. Tego zadania podjęli się ochotniczo dwaj starsi harcerze z zastępu instruktorskiego, druhowie Wysocki i Blatkiewicz. Od gospodarzy dowiedzieli się, że jest taki

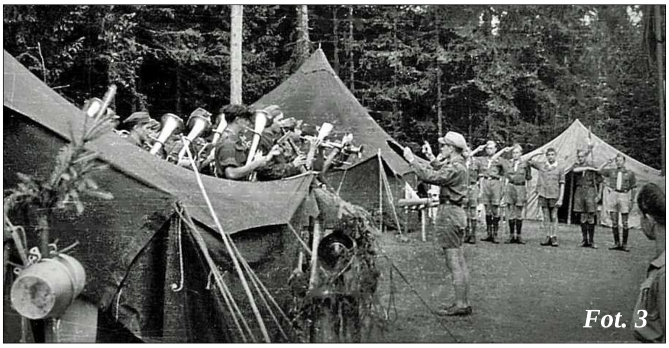
obóz we wsi Pyzówka, położonej po drugiej stronie Pasma Podhalańskiego, w pobliżu przystanku kolejowego Lasek. Gospodarze zgodzili się wypożyczyć naszym zwiadowcom stroje regionalne i narzędzia drwali (piły i siekiery). Z takim przebraniem i wyposażeniem druhowie udali się na rozpoznanie, a przybywszy na miejsce zgłosili się do kierownictwa tamtejszego obozu z ofertą porąbania drewna na opał do ogniska. I choć tamtym wydawało się to trochę podejrzane, przyjęli wędrownych drwali. Trzeba przyznać, że wymienieni druhowie potrafili się wczuć w rolę górali, ich zajęcia i sposób mówienia oraz wygląd zewnętrzny. Natomiast wynik rozeznania nie był dla nas zachęcający. Dowiedzieli się, że jest to obóz harcerzy z Krakowskiej Chorągwi ZHP, położony w terenie pilnowanym i trudnym do zdobycia. Widoczność dookoła obozu była dobra, do zaalarmowania przed niechcianymi gośćmi służyła linia telefoniczna i syrena. Uzyskawszy te wiadomości, postanowiono zrezygnować z podchodów, a w celu odzyskania sztandaru – wystąpić z propozycją zawarcia pokoju. Propozycja została przyjęta, postanowiono zwrócić nam sztandar i urządzić wspólne ognisko na południowym zboczu Pasma Podhalańskiego. W programie ogniska miał się znaleźć konkurs na lepsze wykonanie piosenek harcerskich. Przemyscy harcerze nie obawiali się takiego współzawodnictwa, ponieważ znali i śpiewali dużo pieśni, a prócz tego to my mieliśmy orkiestrę dętą. To wspólne ognisko na zakończenie harcerskiej wojny krakowsko-przemyskiej zostało poprzedzone zaproszeniem naszych harcerzy na obiad do obozu krakowskiego. Tam odbyła się najpierw część oficjalna: wciągnięcie sztandaru na maszt z odegraniem hymnów narodowego i harcerskiego (fot. 2 i 3) oraz wspólne zdjęcie harcerzy przemyskich i krakowskich (fot. 4).

Fot. 2. Orkiestra harcerska gra hymn narodowy. Stoją od lewej: Zdzisław Hołubka, Lesław Lic, Wojciech Bieloński, Mikołaj Lewicki, jako siódmy – Jan Niemiec, jako dwunasty – Kazimierz Wiater. Flagę na maszt wciąga Janusz Homplewicz.



Fot. 2

Fot. 3. Orkiestra gra hymn harcerski. Dyryguje Jan Palczewski. Salutują harcerze krakowscy.



Fot. 3

Fot. 4. Wspólne zdjęcie harcerzy przemyskich i krakowskich. Stoją od lewej: drugi – Janusz Homplewicz, trzeci – Zdzisław Hołubka, czwarty – Lesław Lic, piąty – Wojciech Bieloński, ósmy – Zbigniew Szłapa, przed nim – Jerzy Niemiec, dziesiąty – Jan Palczewski, dwunasty – komendant obozu „Bajeranów", trzynasty – Mikołaj Lewicki, czternasty – Jerzy Fida, piętnasty – Bogusław Szot, dziewiętnasty – Bolesław Martowicz, dwudziesty – Ludwik Śmigielski, dwudziesty pierwszy – Zdzisław Cieślak.



Fot. 4

Okazało się, że na ognisko przyszedł też zespół góralski z Pyzówki. Było więc dużo muzyki, tańca i śpiewu, przy czym krakowscy harcerze musieli przyznać nam pierwszeństwo w przygotowaniu piosenek. Dodatkową atrakcją ogniska był piękny widok na Tatry, których szczyty różowiły się w promieniach zachodzącego słońca.

Oglądane z oddali Tatry miały w sobie coś przyciągającego; poznawszy pobieżnie kilka szlaków tatrzańskich podczas ubiegłorocznych wycieczek, mieliśmy wielką ochotę na ponowne znalezienie się w wysokich górach. Jednak teraz komendant obozu nie przejawiał zamiaru urządzenia grupowej wycieczki w Tatry. Organizowane przez niego krótkie wycieczki do Rabki z wyjściem na Grzebień i do Skawy nie dały się porównać z pięknem wycieczek tatrzańskich. Nie widząc szans na taką wycieczkę z dużą grupą uczestników obozu, postanowiłem wybrać się w Tatry we dwójkę z druhem Zdzisławem Nowakowskim, grającym w orkiestrze na basie (wielkiej trąbie, zakładanej na ramię przez głowę). Zgłosiliśmy w kierownictwie obozu chęć udania się do Białego Dunajca (bo do Zakopanego nie dostalibyśmy przepustek). Z dworca kolejowego w Zakopanem poszliśmy pieszo do Kuźnic, gdzie kupiliśmy bilety do kolejki na Kasprowy Wierch. Pogoda była doskonała, więc z Kasprowego poszliśmy granią Tatr na Świnicę. Na jej szczycie spo-

tkaliśmy kilkunastu turystów. Jeden z nich rozwinął mapę Tatr. Przyglądając się jej spoza pleców, rozpoznaliśmy szlak ku przełęczy Zawrat i dalej do Doliny Pięciu Stawów, potem przez Świstówkę i Opalone ku Morskiemu Oku. Była to długa trasa, lecz my czuliśmy się świetnie i gdy znaleźliśmy się wreszcie nad Morskim Okiem, postanowiliśmy udać się jeszcze do Czarnego Stawu. Wrażenia były wspaniałe, ale przeciągnęliśmy w czasie naszą wycieczkę. Po powrocie w rejon schroniska nad Morskim Okiem okazało się, że z powodu późnej pory nie ma już żadnego środka lokomocji do Zakopanego. Zaczęło się ściemniać, my zaś musieliśmy wracać, gdyż powinniśmy byli być wieczorem z powrotem w obozie. Posiliwszy się nieco, wyruszyliśmy pieszo ponad 30-kilometrową drogą jezdną do Zakopanego. Nie mając latarki, nie mogliśmy zapuszczać się w skróty tej drogi, omijające serpentyny. Szybkim krokiem maszerowaliśmy środkiem szosy, a gdy w ciemnościach nocy mijaliśmy placówkę WOP przed przejściem granicznym na Łysej Polanie, żołnierze nie zatrzymali nas, jeden powiedział tylko: „dobre tempo". Rzeczywiście – przeszliśmy pierwszych 15 km w ciągu dokładnie 2 godzin. Wtedy postanowiliśmy zrobić krótki odpoczynek, co okazało się niezbyt rozsądne, gdyż mięśnie naszych nóg zesztywniały w chłodzie nocy (byliśmy w krótkich spodenkach) i dalszy marsz sprawiał nam ból. Mimo to doszliśmy około godziny 3 nad ranem do dworca kolejowego w Zakopanem. Pierwszy pociąg odjeżdżał dopiero przed szóstą, mieliśmy więc czas na odespanie nocy, leżąc na ławkach w poczekalni. Do obozu wróciliśmy na poranny apel. Uniknęliśmy jakoś wymówek za późny powrót z przepustki i włączyliśmy się w normalny tryb zajęć.

Z zachowanych zdjęć wynika, że grupa starszych członków orkiestry uzyskała zgodę na wycieczkę w Tatry w dniach 31 lipca – 2 sierpnia 1947 roku. I choć szczegóły tej wycieczki nie zachowały się w pamięci tak dobrze, jak wcześniejszej, to zapiski na zdjęciach nie pozostawiają wątpliwości. Byliśmy w Dolinie Białego, na Kasprowym Wierchu i Pośredniej Turni (fot. 5).

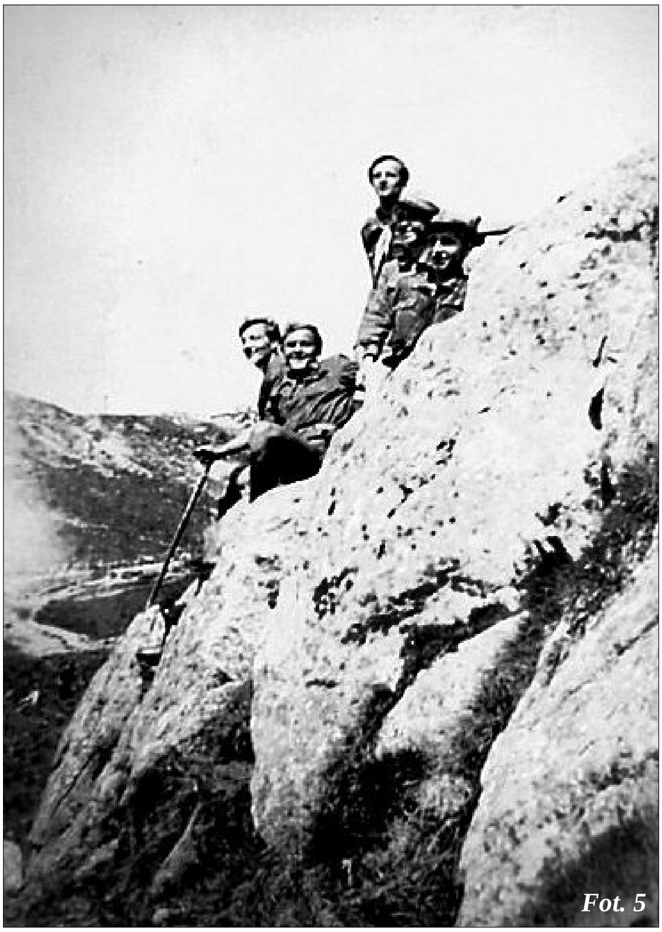
Fot. 5. Druhowie 2.08.1947 r. w Tatrach na Pośredniej Turni. Od lewej: Julian Chłąd, Zdzisław Hołubka, Andrzej Podhalicz, Jan Palczewski, Zbigniew Szłapa.

Obóz letni w Sieniawie w 1948 r.

Obóz został zorganizowany jeszcze raz w Sieniawie, lecz tym razem nie pod namiotami, ale w wynajętych domach góralskich. Teren, na którym w 1947 roku stały namioty, zniszczył potok Raba, wypływający w Rdzawce poniżej szosy zakopiańskiej. Naszą orkiestrę zakwaterowano na piętrze drewnianego domu w pobliżu stacji kolejowej. Niedaleko nas zamieszkała drużyna zuchowa. Zaraz po przyjeździe zajęliśmy się napełnianiem słomą sienników dla siebie i zuchów. Podczas pobytu ćwiczyliśmy nadal repertuar naszej orkiestry, wzbogacony skomponowanym tam przeze mnie marszem „Karpaty". Chodziliśmy również na wycieczki; jedną z nich była wędrówka z Nowego Targu do ruin zamku w Czorsztynie. Gdy zastanawiano się nad wycieczką w Tatry, zgłosiłem wraz z druhem Nowakowskim chęć jej poprowadzenia po znanej nam z ubiegłego roku trasie z Kasprowego na Świnicę i Zawrat. Między Świnicą a przełęczą Zawrat leżał długi i dość szeroki jęzor śniegu, który należało przekroczyć. Niektórzy próbowali zjeżdżać na butach. Szczegóły dalszej trasy zatarły się już w pamięci, przypominam sobie jednak powrót z Morskiego Oka. Przypuszczalnie po noclegu w schronisku większość uczestników wróciła stamtąd autobusem. Natomiast pięcioro z nas dostało zgodę na powrót do Zakopanego szlakiem przez Polanę pod Wołoszynem i Polanę Waksmundzką.

Wspomniane wyżej wycieczki harcerskie w Tatry stanowiły atrakcję dla młodzieży z Przemyśla. Można wyrazić przekonanie, że dla wielu ich uczestników stały się zachętą do uprawiania turystyki górskiej w wieku dojrzałym. Autor artykułu został gorącym zwolennikiem wędrówek szlakami górskimi w Tatrach, Beskidach, Sudetach i Górach Świętokrzyskich, a także w Słowacji, Bułgarii, Chorwacji i Norwegii. Obok muzyki poświęcał im wolne chwile od pracy i obowiązków, czasem samotnie, częściej w gronie kolegów i koleżanek z uczelni, potem współpracowników z koła zakładowego PTTK, dalej – z żoną, córkami, szwagrostwem i wnukami, jak też z innymi członkami rodziny i znajomymi. Czyni to nawet obecnie, o ile pozwalają siły i podeszły wiek.

Wypada tu wyrazić wdzięczność tym, którzy prowadzili młodych na górskie szlaki, a dziś nie ma już ich wśród nas.



Fot. 5



Emil Palej

NOTATKI Z MEGO ŻYCIA

cd.

W mieście nie było większych zniszczeń ani też żadnego pożaru, tylko dużo okien wybitych. Natomiast sklepy detaliczne i magazyny „Kooperatywy” prawie nienaruszone, za wyjątkiem sklepów wojskowych „Wojentorg”. Przez miasto przejeżdżało dużo wojsk niemieckich, czołgów i samochodów z Radymna na Lwów. Ukraińcy samorzutnie zorganizowali jakąś władzę powiatową. Bardzo dużo kręciło się po mieście Ukraińców z opaskami żółto-niebieskimi na rękawach. Polaków bardzo mało było widać. Żydów w ogóle nie widziałem w mieście. Po drodze do domu wstąpiłem do kolegi Edwarda Szpilki, z którym rozmawiałem z godzinkę. Kol. Edzio powiedział mi, że Niemcy nas, Polaków, wykończą. Edzio obawiał się tego, ponieważ za Sowietów był kierownikiem swojej drukareczki, to go za to jako Polaka wykończą. Mnie zaś wróżył, że jako Radnego Powiatowej Rady to na pewno też wykończą. W trakcie naszej rozmowy zorientowałem się, że teraz już będzie koniec wszystkim Polakom. Gdy wróciłem do domu, teść mi powiedział, że widział się ze Stanisławem Krasickim, który prosił, ażebym przyszedł jutro rano do niego, ponieważ on nie może przyjść z powodu choroby jego żony. Po przenocowaniu wsiadłem na rower; jadę do Ożomli po dzieci. Była to sobota 29 VI 1941 r. W Ożomli musiałem pozostać w tym dniu, gdyż było kilka wypadków z bydłem. W czasie mojej nieobecności dzieci: Tamara i Pietia rozchorowały się. Nic nie jadły ani nie spały, tylko ciągle płakały za rodzicami. Zabezpieczyłem ich mieszkanie i co lepsze rzeczy spakowaliśmy i umieściliśmy u sąsiada – Adama Mućka. Dzieci chciałem zabrać do swego domu w Jaworowie. Uspokoiłem je i tego samego dnia okazyjną furmanką odesłałem swoich synów do domu. Sam pozostałem z Tamarą i Pietią. Wtedy był już zupełny spokój. Niemcy, według komunikatów, znaleźli się już pod Kijowem. W tym czasie Niemcy powołali całą administrację powiatową Jaworowa. Administracja to sami Ukraińcy – nacjonaliści. Starosta – ukraiński nacjonalista Chorambura, burmistrz Baczyńskyj, wszyscy pracownicy starostwa – sami Ukraińcy, ani jednego Polaka. Naprędce zorganizowano policję z samych młodych, po wojsku, Ukraińców. W Ożomli przystąpiono do uruchamiania sklepu ukraińskiego. Ukraińscy nacjonaliści poprzyczepiali sobie małe kokardki żółto-niebieskie do klap marynarek. Polacy byli trochę przygnębieni. W tym czasie miałem parę wypadków, tak że nie mogłem zwinąć punktu i odjechać do domu, a po drugie obawiałem się jakichś represji ze strony Niemców.

Jest już początek lipca 1941 r. Spakowałem lepsze i droższe narzędzia – instrumenty weterynaryjne oraz droższe lekarstwa, zaprzągłem uratowanego konia i jadę do domu. Gdy wyjeżdżałem z podwórza punktu weterynaryjnego, zatrzymał mnie ukraiński policjant z poleceniem, że mam jutro zgłosić się u pana starosty w Jaworowie. To mnie speszyło. Przeczuwałem, że będzie ze mną źle. W domu żona mi oznajmiła, że lekarz powiatowy, weterynarz Fedorowski, był u nas i chce się ze mną widzieć. Prócz tego powiedziała mi, że dr Fedorowski był trochę podenerwowany. Wieczorem odwiedziłem lekarza Fedorowskiego, który się ucieszył, że przyszedłem. Jego żona, pani Hanka, powiedziała mi: „Panie Emilu, teraz męża mego, lekarza Kędziora i pana, to Szwaby za waszą pracę za Sowietów to na pewno powieszą”. Dr Fedorowski uspokoił mnie i zaczął mówić, że był wzywany do starostwa już trzy razy. V-ce starosta powiedział, że proponuje mu pełnić funkcję powiatowego lekarza weterynarii nadal, lecz ten się nie zgodził oświadczając, że jest jeszcze innych trzech lekarzy weterynarii i podał nazwisko swego zastępcy Ukraińca (bardzo porządny człowiek, nie nacjonalista) i pozostałych jeszcze dwóch, równocześnie oświadczając, że chce wyjechać do Lwowa, do swoich rodziców. W trakcie rozmowy v-ce starosta siedząc za biurkiem nie prosił, by lekarz Fedorowski usiadł. W tym czasie były delegacje chłopów z wiosek, że nie ma żadnej opieki weterynaryjnej. Chłopi prosili, by Fedorowski był lekarzem powiatowym. W końcu Fedorowski zgodził się. Następnie oświadczył mi, że o mnie też mówił, że mogę zostać i pracować, ale bez wynagrodzenia – tylko co zarobię, to będę miał. Po wypiciu paru głębszych wróciłem do domu.

Na drugi dzień ze strachem poszedłem do starostwa. W budynku – wielki ruch. Masa ludzi, również wojskowych – Niemców, kręci się po budynku. Zameldowałem się u woźnego, który mi powiedział, że starosta i v-ce starosta są bardzo zajęci, jest konferencja i muszę czekać. Po jakichś czterech godzinach wyszli; zapukałem do gabinetu v-ce starosty, który mi powiedział, żebym przyszedł jutro.

Następnego dnia przyjął mnie tylko słowami: „Panie Palej, praciowałysty za bolszewików, to może schoczyty praciwaty u nas”. Odpowiedziałem, że jeśli pan starosta uważa, że jestem dobrym pracownikiem, to mogę, pomimo tego, że chciałem się więcej zająć gospodarką, ponieważ teść mój choruje. W końcu zgodziłem się (bo tak mi kazał lek. Fedorowski). Starosta polecił mi protokolarnie zdać wójtowi Szczepańskiemu cały inwentarz, apteczkę i w ogóle wszystko co znajduje się w punkcie weterynaryjnym, zaś konia z wózkiem oddać do „Masłosojuzu”. Po oddaniu konia nie poszedłem do pracy w Ożomli, tylko pomagałem doktorowi Fedorowskiemu z powrotem uruchomić lecznicę powiatową.

Po paru dniach wójt gminy zbiorowej (Sammelngemeinde) Ożomla – Szczypańskyj wezwał mnie do tejże gminy; przywitał się ze mną bardzo serdecznie. To mnie mocno zdziwiło, ponieważ wiedziałem, że jest bardzo zagorzałym nacjonalistą ukraińskim, największym bogaczem w Rogoźnie, jeden syn ksiądz, drugi nauczyciel. Sam inteligent i poważany wśród ludności ukraińskiej, a nawet i częściowo polskiej – w okolicy. Szczepańskyj nigdy nie rozmawiał po polsku; teraz przemówił do mnie po polsku: „Panie Palej, cieszę się, że będzie pan pracował na tym samym terenie jak przedtem. Uważam, że pan będzie miał dobrze, a może i lepiej jak za bolszewików, ponieważ całe honorarium będzie dla pana. Pan starosta powiatowy zatwierdził pana na tym stanowisku”. Odpowiedziałem mu, że pracowałem dla chłopów przedtem sumiennie, to i teraz będę robił to samo. Kazał mi przy-

gotować spis wszystkiego, co się znajduje w punkcie weterynaryjnym, komisyjnie przydzielając mi jednego pracownika. Zapytałem go, czy mogę wziąć do pomocy byłego sanitariusza Antoniego Głabę – odpowiedział, że to jest moja sprawa.

Na drugi dzień wszystko było gotowe i rozpocząłem pracę. Z początku było mało pracy z powodu tego, że ludność wzywała mnie tylko w ciężkich wypadkach i nagłych, a po drugie żniwa, młocka, zdawanie kontyngentu itp. Ze względu na to, że dzieci oficera sowieckiego były bez żadnych środków do życia, starałem się nadal otaczać je opieką. Dzieci przyzwyczaiły się i już nie tęskniły tak za rodzicami.

Po trzech – czterech dniach mojej pracy przyszedł do punktu weterynaryjnego wójt Szczepańskyj w towarzystwie jeszcze dwóch innych pracowników gminy. Po przywitaniu się ze mną oznajmił mi, że zobaczy tę małą willę, w której zajmuję dwa pokoje; resztę zajmuje rodzina nieobecnego właściciela, który pracuje we Lwowie. Willa ta zostaje zabrana dla Gminy Zbiorowej, ja zaś otrzymam inne miejsce – po Niemcu, który w 1939 roku. wyjechał do Niemiec; jednak będę musiał zrobić pewne naprawy wewnątrz, materiał do odświeżenia otrzymam z gminy. Następnie powiedział, że wie o tym, że opiekuję się tymi dziećmi sierotami oraz oznajmił, że on pomoże mi w tym też, prosząc mnie, abym przyszedł jutro do niego.

Na drugi dzień poszedłem do wójta Szczepańskiego, który mi dał kartki żywnościowe II kategorii na cały miesiąc oraz dla dzieci sowieckich kartki III kategorii. W tym czasie dowiedziałem się, że żona sowieckiego oficera znajduje się w klinice we Lwowie na kuracji. Postanowiłem działać. Lekarz powiatowy Fedorowski postarał mi się o przepustkę ze starostwa na wyjazd do Lwowa po pewne lekarstwa. W tym czasie ludności cywilnej było bardzo trudno dostać się pociągiem do Lwowa.

Po przybyciu do Kliniki na Kurkowej we Lwowie udało mi się odnaleźć chorą. Dzięki temu, że personel składał się w większości z Polaków, zobaczyłem się z nią. Bardzo się ucieszyła, że dzieci żyją i są pod moją opieką. Krótka rozmowa z lekarzem – jest jeszcze chora, ale można ją zabrać za tydzień, ponieważ klinikę i tak zajmie wojsko. Gdy w tym samym dniu wróciłem do Ożomli, biedne dzieci nie spały, czekając na mnie, by się dowiedzieć co z matką. Radość była ogromna, do tego stopnia, że sam miałem łzy w oczach. Po sześciu dniach brat współpracownika Głaby, na moją prośbę, z p. Marią Karalewicz pojechali polnymi drogami około 50 km do Lwowa po chorą. Przywieziono ją na drugi dzień. Należy podkreślić, że wójt Szczepańskyj pomagał tej rodzinie co do wyżywienia. W niedzielę pojechałem do domu i w tym dniu wieczorem zaszedłem do lek. wet. Fedorowskiego złożyć mu relację z przebiegu swojej pracy. Lekarz powiatowy dał mi pewne wskazówki dotyczące dalszej mojej działalności zawodowej. W poniedziałek otrzymałem wezwanie do „Arbeitsamtu” w Jaworowie. W tym czasie „Arbeitsamt” wysyła już ludzi do Niemiec na roboty przymusowe, i to w wielkiej ilości. Ludność była wystraszona z powodu wyjazdu do Niemiec. Bardzo się tym podenerwowałem i pobiegłem do lek. Fedorowskiego zapytać co mam robić. Lek. Fedorowski oznajmił mi, że jest źle, ale pójdzie ze mną do starosty, to może coś da się zrobić. Po przybyciu do starostwa zabrał ode mnie wezwanie i poszedł sam do starosty. Po chwili wyszedł i kazał mi iść razem z nim. W drodze do „Arbeitsamtu” pokazał mi moje wezwanie, gdzie na odwrotnej stronie było napisane parę słów, że pracuję i jestem koniecznie potrzebny, i starosta prosi o pozostawienie mnie na miejscu. Przed budynkiem „Arbeitsamtu” czekało masę ludzi – kobiet i mężczyzn, młodych i starszych. Powiatowy lek. Fedorowski wszedł ze mną do biura, pokazał kierownikowi moje wezwanie, dopisek starosty, przy tym po polsku powiedział: „Panie dyrektorze, ten pracownik jest bardzo potrzebny, ponieważ jest nas tylko dwóch i proszę o pozostawienie go na miejscu”. Ku wielkiemu memu zdziwieniu kierownik „Arbeitsamtu” odpowiedział: „Bardzo dobrze, zaraz wydam zaświadczenie o pracy i niech pan doktor będzie spokojny – mamy z czego wybierać i wysyłać”. To mnie bardzo ucieszyło, że zostaję. Jak zorientowałem się po akcencie, był to Poznaniak; jak się później okazało, miałem rację. W czasie wysyłania ludzi do pracy w Niemczech ten kierownik wysyłał w 90% ludność ukraińską, a bardzo mało Polaków. Miał duże uprzedzenie do ludności ukraińskiej. Zdarzały się wypadki, i to dość częste, że bił po twarzy Ukraińców w swoim biurze. Z Polakami tam pracującymi przyjaźnił się i popijał prywatnie. W swojej pracy dawałem sobie radę. Antoni Głaba pomagał mi, a swoimi zarobkami dzieliliśmy się. Ponieważ Niemcy po wkroczeniu i opanowaniu powiatu jaworowskiego wydali rozkaz oddać wszystko – aparaty radiowe pod karą śmierci – z bólem serca oddałem swój aparat na baterie „Echo”. Nie wiedziałem, co się w świecie dzieje; tylko z prasy ukraińskiej, w której całe szpalty były o wielkich zwycięstwach wojsk niemieckich na terytorium sowieckim oraz na terenie państw zachodnich. Miałem wprawdzie zakopane dwa aparaty radiowe sześciolampowe – Philips i bardzo dobry aparat węgierski, które dała mi na przechowanie Jankowska – żona kpt. Jankowskiego – przed wywozem do ZSRR w 1939 r. Z pomocą teścia aparaty te zakopałem w stodole, jednak bałem się wyciągnąć, by nie wpaść w nieszczęście. Kiedy z soboty na niedzielę przyjechałem do domu, to pierwsza rzecz – odwiedzić lek. Fedorowskiego i Stanisława Krasickiego – jak już wspominałem – mego sąsiada. Stanisław Krasicki pracował w Wydziale Finansowym, a obydwaj młodsi synowie pracowali we Lwowie w warsztatach mechanicznych, a Janek był cały czas w Warszawie. Krasicki był tylko z żoną, a obydwaj synowie młodsi przyjeżdżali każdej soboty do domu. Krasiccy trzymali jedną krowę, świnie i kury; to im dopomagało w ich życiu. Z Stanisławem Krasickim rozmawialiśmy o polityce. Miał dużo ważnych informacji z zagranicy, ponieważ słuchał radia ukrytego u jednego z Polaków i informował mnie w tajemnicy, co się dzieje. Był czasami taki wesół, że musieliśmy wypić parę głębszych, których to za Niemców nie brakowało. Stanisław Krasicki pocieszał mnie, że tak nie będzie. Zwycięstwa Niemców są czasowe. Alianci dopiero teraz dozbrajają się i razem zniszczą Niemców. Polacy słyszane komunikaty radiowe przekazywali jeden drugiemu w ścisłej tajemnicy. Dobre wiadomości radiowe z Londynu lub Moskwy napawały Polaków otuchą. Ja pracuję dalej i mieszkam na kawalerce w Ożomli i jak zwykle w soboty przyjeżdżam do domu.

Tak przeszła zima 1941 r. W ciągu lutego lub w marcu 1942 r. przyszedł do mnie Stanisław Krasicki, porozmawiał chwilę i prosił mnie do siebie na tysiąca (gra w karty), na co chętnie się zgodziłem. Gdy przyszedłem do mieszkania Krasickich, za wyjątkiem p. Krasickiej nikogo nie było. Ponieważ synowie przyjeżdżali każdej soboty o godz. 22.30 pociągiem ze Lwowa, usiedliśmy w pokoju. Krasicki przyniósł trochę wódki i jakąś zakąskę, położył karty na stole i nalał wódki do dwóch kieliszków, wypiliśmy wódkę oraz zjedliśmy przekąskę. Krasicki wyszedł do kuchni, coś powiedział swojej żonie i poprosił herbaty. Zamknął drzwi od kuchni, usiadł na

swoim miejscu i zaczął mówić do mnie: „Panie Emilu, mam do pana pewną bardzo ważną sprawę i bardzo tajemniczą, ale musi mi pan dać słowo honoru, po prostu przysiąc, że to co panu powiem, nikt więcej nie będzie wiedział. Znam pana i uważam, że pan jako dobry Polak zrozumie to". Ja się trochę speszyłem, a nawet nastraszyłem, że chodzi o mnie, że mi coś złego grozi. Dałem słowo, po prostu przysiągłem, że zachowam tę tajemnicę do grobowej deski (tu właśnie złamałem tę tajemnicę). Stanisław Krasicki zajrzał do kuchni, sam przyniósł herbatę i mówi: „Żona coś niezdrowa i położyła się – możemy śmiało rozmawiać. Jak panu wiadomo, w naszej Polsce już od dawna pracują organizacje podziemne przeciwko Niemcom, tylko w naszym powiecie nic się nie robi i co bym ja na to powiedział, że tak siedzimy bezczynnie." Odpowiedziałem mu, że faktycznie nic nie robimy i powinniśmy coś też o tym pomyśleć. Krasicki mi powiedział, że był we Lwowie i nawiązał kontakt z pewnymi osobami i że będzie się coś robić u nas, tylko bardzo ostrożnie, a poza tym nie mamy odpowiednich ludzi, którzy by zmontowali i pokierowali tą całą sprawą. Przyszło mi na myśl, że faktycznie nie ma oficerów zawodowych ani też rezerwy. Odpowiedziałem mu, że będzie dość trudno znaleźć odpowiedniego i pewnego człowieka, a poza tym fachowego. Krasicki odpowiedział mi, że pan to co. Ja już naświetliłem sylwetkę i życiorys pana i bardzo chętnie zgodzili się na pana. W dalszej rozmowie powiedział mi, że będziemy razem pracować dla dobra Polski. Zgodziłem się, ponieważ temu człowiekowi bardzo ufałem. Na zakończenie naszej rozmowy Krasicki powiedział mi, że w tych dniach będzie we Lwowie, to mi dokładniej powie, co będzie dalej. Wypiliśmy resztę wódki, pożegnaliśmy się i poszedłem do domu. Długo nie mogłem usnąć, rozmyślając o tej pracy podziemnej. W nocy miałem jak nigdy różne sny o biciu hitlerowców, o walce, o odwrocie jak w 1939 r. W następnym tygodniu, jak zwykle, przyjechałem do domu. Wieczorem przyszedł do mnie Krasicki i po rozmowie powiedział mi, że jutro, tj. w niedzielę o godzinie 11-tej, ażebym przyszedł do niego. Punktualnie o tej godzinie zjawiłem się. Po krótkiej rozmowie z nim dał mi adres, który zapisałem sobie na małym skrawku papieru oraz hasło, z jakim mam się jutro zgłosić we Lwowie, ulica Kleparowska, numeru nie pamiętam, w biurze jakiegoś przedsiębiorstwa (też nie wiem), dokładnie w oznaczonej godzinie: 12-ta. W dokładnie oznaczonym na planiku pokoju będzie siedziała za biurkiem młoda kobieta blondynka, która będzie mała zabandażowany średni palec lewej ręki. Gdy to zauważę, zapytam: „Proszę pani, czy można dostać dwa biurka jesionowe, jasne, politurowane?" Prócz tego ja sam miałem mieć wysuniętą chusteczkę w prawej kieszeni płaszcza, widoczną dobrze. Wtedy, na drugi dzień, pani ta wstała, lekko się uśmiechnęła, powiedziała, że zaraz zapyta i wyszła. Po chwili wszedł razem z nią mężczyzna około trzydziestu lat, niskiego wzrostu i powiedział mi: „Proszę, pokażę panu biurka. Wyszliśmy. Kazał mi iść za nim w odległości paru kroków. Prowadził mnie krętymi ulicami o małym ruchu ulicznym. Po prawie pół godziny marszu wszedłem za nim do budynku na I piętro. Tu już stoimy razem przed drzwiami. Prowadzący mnie swoim kluczem otworzył drzwi i weszliśmy do dość obszernego pokoju, w którym było dosyć ciepło. Przeprosił mnie na chwilę i wyszedł. Po paru minutach wrócił w towarzystwie kobiety, przedstawił mnie jako kolegę i powiedział, że muszę zaczekać na drugiego kolegę, ponieważ jest chwilowo nieobecny, ale niezadługo wróci i załatwi sprawę. Pożegnał się i wyszedł. Kobieta położyła na stół parę książek do przeglądnięcia, ażeby mi się nie nudziło, przeprosiła mnie i też wyszła. Po odejściu tej kobiety zostałem sam i czułem się nieswojo. Nie wiedziałem, co to wszystko ma znaczyć. Po pół godziny weszła kobieta do pokoju, przyniosła mi herbatę i jakąś kanapkę, prosząc mnie, ażebym się posilił, bo na pewno jestem już głodny, a jej mąż czasami lubi się spóźnić – i znowu wyszła. Wypiłem herbatę, przeglądając leżące na stole książki, paląc papierosa za papierosem. Wskazówki zegara wiszącego na ścianie posuwały się bardzo powoli. Zdawało mi się, że siedzę tu już parę godzin. Zaczęło robić się szaro. Kobieta przyszła i zapaliła światło. Sama się dziwiła, że tak długo nie ma męża. Po pewnym czasie usłyszałem rozmowę w sąsiednim pokoju czy kuchni. Do pokoju wszedł mężczyzna, który przywitał się i przeprosił mnie za tak długie czekanie. Poczęstował mnie papierosem i zaczęliśmy mówić na temat zwycięstw Niemców, którzy odnoszą je na wszystkich frontach. Powiedział mi o ostatnim komunikacie z Londynu. W czasie naszej rozmowy kobieta, a właściwie żona tego mężczyzny, przyniosła znowu herbatę i kanapki. Po jej odejściu ów mężczyzna powiedział mi, że zaraz pójdziemy do kolegi, który czeka na mnie. To mi się już nie podobało i w duchu myślałem sobie, czy to nie jakaś zasadzka na mnie. Poczułem pewien lęk. Pomyślałem sobie, czy nie wpadłem w jakąś zasadzkę, ale po chwili pomyślałem, że chyba nie, tylko potrzebna duża ostrożność. Mężczyzna popatrzył na zegarek i powiedział: „Już idziemy". Po wyjściu z budynku szliśmy razem i znowu krętymi uliczkami. Pomimo tego, że Lwów trochę znałem, nie miałem pojęcia, gdzie jestem. Po 20 minutach drogi weszliśmy do budynku. Mężczyzna nacisnął kilkakrotnie guzik dzwonka, drzwi się otworzyły, a w nich ukazał się człowiek, prosząc byśmy weszli do środka. W pokoju siedział jeszcze jeden mężczyzna. Po przywitaniu się usiadłem koło stołu, a ten który mnie przyprowadził, pożegnał się i wyszedł. Zostaliśmy we trójkę. Zaczęła się rozmowa. Jeden z nich mówi do mnie: „Panie Palej. Nasz pełnomocnik, pan Krasicki, zaoferował pana do pracy konspiracyjnej. Czy pan się zgadza na to?". Odpowiedziałem, że to jest obowiązkiem każdego Polaka, wobec czego zgadzam się bardzo chętnie. Mężczyzna powiedział: „W takim razie złoży pan najpierw przysięgę". Wstaliśmy we trójkę i powtarzałem słowa przysięgi. Słów już nie pamiętam. Po złożeniu tego ślubowania czy przysięgi obaj uścisnęli mi rękę, a odbierający ślubowanie powiedział mi: „Teraz będziemy mówić szczerze i otwarcie. Jesteśmy w służbie wojskowej regularnego wojska polskiego". Czułem się naprawdę szczęśliwy. Jakaś siła we mnie wstąpiła. Przypomniałem sobie kampanię wrześniową, kiedy myślałem, że już Polski nie będzie, że przepadła, że znowu wiekami będzie w niewoli. Później myślałem, że mam już drugą ojczyznę, ale już nie Polskę. Poczułem się taki silny i odważny, że bym już szedł na front przeciwko hitlerowcom. Tę moją zadumę zauważyli obaj. Jeden nich rzekł: „Czego pan tak zadumany, będzie dobrze" itd. Kazano mi podać „pseudo". Po namyśle podałem: „Mściwy". Nastąpiło to, czego się nigdy nie spodziewałem: „Mianuję pana komendantem obwodu na powiat jaworowski. Pełnomocnikiem jest Stanisław Krasicki, będziecie razem pracować. Pan ma sprawy wojskowe, a pan Krasicki ogólne". Odpowiedziałem, że jestem tylko podoficerem i nie wiem, czy podołam temu wszystkiemu. Jak się zorientowałem, ów mężczyzna, który mnie mianował komendantem obwodu, musi być wyższym komendantem czy dowódcą. Odpowiedział mi, że jest dobrze zorientowany co do mojej osoby. Oficerów na terenie Jaworowa nie ma, a ja

dam sobie radę. Po tym wszystkim otrzymałem rozkaz, że po powrocie do Jaworowa mam powołać sztab z pięciu ludzi, a to: zastępcę, oficera łączności, wywiadu, organizacyjnego oraz kurierkę. Piątkę tych ludzi dobrać, którzy by byli odważni, mądrzy i odpowiadający wymogom. Zaprzysiąc ich. Kurierka musi być bardzo odważna, energiczna oraz mądra kobieta. Kurierka nie zna nikogo, za wyjątkiem mnie i zastępcy. Nazwiskami nie wolno operować, tylko pseudonimami. Po sformowaniu sztabu obwodu podać meldunek p. Krasickiemu, który go doręczy do Lwowa. Następna poczta powinna już być dostarczona i odbierana przez kurierkę. Następnie zapytano mnie, czy na terenie powiatu jaworowskiego są oficerowie rezerwy. Jak się zorientowałem, to było ich bardzo mało. Odpowiedziałem, że jest ich kilku i to przeważnie nauczyciele, natomiast są podchorążowie. Więcej jest podoficerów zawodowych i rezerwy. Na te moje słowa mężczyzna, który mnie mianował komendantem obwodu, powiedział: „My więcej cenimy i polegamy na podoficerach jak na oficerach. Podoficerowie nie zawiodą". Powiedziano mi, że najważniejsze zadanie to broń i amunicja, o które trzeba się starać i zdobywać wszelkimi środkami. Powiedziałem, że po ostatniej inwazji Niemców oraz walkach na pewno dużo osób posiada broń. Pomyślałem sobie, że Ukraińcy dobrze się zaopatrzyli w różną broń podczas kampanii wrześniowej i ostatnio w czasie walk Niemców z Sowietami. Rozmawialiśmy jeszcze dość długo na różne tematy. Kazano mi się postarać o dobry aparat radiowy, ukryć go i słuchać komunikatów wszystkich stron. Podkreślano, że nasza organizacja konspiracyjna nie polityknuje, a jej zadaniem jest niszczyć hitlerowców. Ze względu na to, że miałem ostatni pociąg Lwów – Jaworów (49 km) o godzinie 22, skończyliśmy rozmowę. Nie wiedziałem w ogóle na której ulicy się znajduję i jak się dostać na dworzec Kleparowski – jeden z mężczyzn miał mnie odprowadzić na główną ulicę do tramwaju. Na zakończenie Komendant kazał mi już przystąpić do pracy. Pożegnaliśmy się z Komendantem. Odprowadzono mnie bocznymi ulicami aż do tramwaju. Do domu jak zajechałem, to nie mogłem ani jeść, ani spać. W głowie mi się kręciło, że co ja teraz zrobię, czy dam temu radę i po co się zgodziłem itd.

Na drugi dzień nie pojechałem do pracy, tylko zostałem w domu i pracowałem koło drzew owocowych. Po południu poszedłem do Stanisława Krasickiego, by mu o wszystkim powiedzieć oraz poradzić się. Krasicki bardzo się ucieszył, że tak się stało. Zaczęliśmy szukać odpowiednich ludzi do tak zwanego sztabu obwodu. Nasze wspólne wnioski były trafne. W ciągu tygodnia sztab obwodu został utworzony. Zastępcą został sierż. Jan Stawidło, pseudonim „Zryw", oficerem łączności Marian Adaszyński, starszy wachmistrz rezerwy, ps. „Korab", oficerem wywiadu Izydor Hawliczek, ps. „Lis". Gorzej sprawa przedstawiała się z poszukaniem kurierki. Jednak udało się nam znaleźć i kurierką została Ela Buczko – nauczycielka z zawodu, która nie pracowała, ponieważ w Jaworowie nie było szkoły polskiej, żona również nauczyciela, oficera rezerwy, który prawdopodobnie zginął z rąk hitlerowców w czasie kampanii wrześniowej lub w obozie. Wszyscy zostali zaprzysiężeni i czekaliśmy, a właściwie byliśmy gotowi do pracy konspiracyjnej i na wszystko, co może nas spotkać. Ja napisałem meldunek o zorganizowaniu sztabu obwodu, oddałem St. Krasickiemu, który doręczył go we Lwowie znanemu człowiekowi. Krasicki przywiózł mi ze Lwowa instrukcję co do następnej pracy, a to: na terenie powiatu Jaworów mają powstać cztery plutony: Jaworów (miasto z przedmieściami) – pluton pierwszy, Krakowiec – pluton drugi, Wielkie Oczy – pluton trzeci, Ożomla – pluton czwarty. Na razie upatrzyć, zwerbować i zaprzysiąc tylko dowódców plutonu. Dowódca plutonu już sam będzie działał, tj. znajdzie zastępcę i zaprzysięgnie. Natomiast dowódcę plutonu osobiście zaprzysięgnie Komendant Obwodu. Poza tym więcej nic nie robić, czekać na dalsze rozkazy. Stanisław Krasicki powiedział mi, że teraz trzeba się wziąć do pracy, lecz bardzo ostrożnie i mądrze, by nie wsypać się. Członkowie sztabu obwodu to ludzie pewni, mądrzy i odważni. Zacząłem przy ich pomocy szukać dowódców plutonu. Funkcję dowódcy I plutonu Jaworów na razie objął mój zastępca Jan Stawidło, podoficer zawodowy, ps. „Zryw", który z miejsca rozpoczął pracę, upatrując swojego zastępcę i dowódców drużyn. II pluton Krakowiec – dowódcą został st. sierż. zawodowy 38 pułku piechoty Roman Tworzydło; III pluton Wielkie Oczy – ppor. rez. nauczyciel Motas; IV pluton – plut. rez. Antoni Głaba, jeden z najodważniejszych i najofiarniejszych ludzi. Po kilkunastu dniach przybyła kurierka ze Lwowa przywożąc St. Krasickiemu dla mnie pisma, tj. rozkazy i pocztę. Krasicki oddał mi te wszystkie pisma oraz moje meldunki, które ja mu dałem, aby wręczył je we Lwowie. W rozkazie Komendy Głównej polecono mi przyjechać w określonym dniu i godzinie (daty nie pamiętam). W oznaczonym terminie zgłosiłem się. Na odprawie, która odbyła się na peryferiach Lwowa, otrzymałem dalsze instrukcje, a to: w każdym plutonie ma być po dwóch dowódców drużyn, na razie bez ludzi. Dowódcy drużyn mają upatrywać bardzo ostrożnie ludzi do swojej drużyny. Poza tym mam znaleźć dowódcę oddziału dywersyjnego, który powinien być oficerem rezerwy lub podchorążym, względnie podoficerem zawodowym, w razie ich braku może być podoficer rezerwy. Musi to być człowiek odważny, energiczny i dobrze obznajomiony w tej dziedzinie. Nikt o nim nie wie, tylko ja i mój zastępca. (Dowódcą oddziału dywersyjnego został Eugeniusz Szpitman, a w oddziale dywersyjnym znalazł się też brat Eugeniusza – Kazimierz). Powiedziano mi poza tym, aby się dowiedzieć, jakie jednostki niemieckie znajdują się na terenie pow. jaworowskiego, co robią. Jakie jednostki wojsk niemieckich przejeżdżają szosą Jaworów – Lwów i mniej więcej znać ich liczbę. Starać się wszelkimi siłami o broń i amunicję. Broń, którą już posiadamy, dobrze konserwować, a jeżeli będzie już większa ilość – dobrze zamelinować. Ostrożnie na każdym kroku. Zabronić kategorycznie tym ludziom, którzy są już w konspiracji, pić alkoholu. Od dnia dzisiejszego co niedzielę będą przysyłali kurierkę z pocztą. W razie czegoś bardzo ważnego albo jakiejś wsypy – meldować natychmiast. Wręczono mi szyfr i klucz do odczytania. Z tym wróciłem do domu. Zwołałem naradę tzw. sztabu obwodu. Podniosło mnie na duchu to, że wszyscy członkowie byli weseli i brali się do pracy. Szukali ludzi, broni i amunicji. Czekali na robotę dywersyjną. Byli zdyscyplinowani. Gorsze było to, że żony nasze każdemu robiły wymówki, że wieczorami nie ma nas w domu; pytały – gdzie poszedł i co robi. Każdy mówił, że idzie grać w karty do kolegi. Żona pyta któregoś z kolegów, w końcu wychodzi na jaw, że tam w ogóle nie był. Niektóre podejrzewały, że znalazł jakąś miłość itp. Na nasze narady mieliśmy bardzo dobrą melinę u rolnika Adama Linderskiego. Tam mogliśmy swobodnie wszystko robić. Na stole stało pół litra siwuchy, kilka kieliszków, leżało parę kromek chleba, cebula i karty do gry. Była to porcja żelazna, tylko po to, że w razie wsypy to gramy w karty przy

wódce. Tak schodziły dni i tygodnie. Pracowałem nadal w Ożomli. Zabrałem tam żonę i dziecko. Teściowie sami dawali sobie radę na gospodarce. W Ożomli była szkoła polska i dzieci moje uczęszczały do niej. Bardzo dobrze uczyło małżeństwo Stelmachów. Sam zarabiałem dość możliwie. Obsługiwałem dwa Ligeschafty, tj. folwark hr. Czosnowskiej w Rogożnej i hr. Szeptyckiego w Przyłbicach, gdzie byli rządcami Polacy i większość służby. Dość często trzeba było dobić jakąś sztukę bydła, to wszyscy korzystali – i ja też. Na szczęście nigdy nie było kontroli ze strony władz niemieckich ani ukraińskich, a powiatowy lekarz weterynarii nieraz mi mówił: „Mają szwaby zjeść, to niech ludzie pracy zjedzą, bo ich". Każdej soboty i dość często w tygodniu byłem w domu ze swoimi towarzyszami broni.

W miesiącu maju 1942 r. zameldowałem na odprawie okręgowej we Lwowie stan liczebny ludzi i posiadanej broni. W każdym plutonie zorganizowano dwie drużyny od 5 do 10 osób. Ogólny stan: około 50 ludzi, z czego 50% już posiadało broń – kbk, pistolety oraz 6 automatów niemieckich 9 mm i 2 rkm posiadał pluton Krakowiec. Prócz tego w sumie posiadaliśmy około 100 granatów ręcznych. Amunicję do każdej broni mieliśmy, lecz za mało, bo zaledwie około 1000 sztuk. W tym samym czasie był w całym powiecie zupełny spokój. Cieszyliśmy się, że nasza organizacja rośnie i rozwija się pomyślnie. Każdego tygodnia kurierka „Ela" przywoziła ze Lwowa gazetki konspiracyjne, bite na powielaczu; gazetki te w poniedziałek już szły w teren. W tym czasie Niemcy odnosili zwycięstwa – tak na wschodzie, jak i gdzie indziej. Radio zachodnie, a też i sowieckie, pocieszało, że zwycięstwo hitlerowskie jest czasowe, że Niemcy zostaną rozbici. Wierzyliśmy temu. Gdzieś w miesiącu czerwcu lub lipcu 1942 r. w rozmowie z Krasickim postanowiłem wciągnąć lekarza Fedorowskiego do naszej konspiracji. W niedzielę przyjechałem z Ożomli do Jaworowa i wieczorem poszedłem do lek. Fedorowskiego zdać mu relację z mojej tygodniowej pracy w punkcie weterynaryjnym Ożomla. Zaznaczyć trzeba, że lek. Fedorowski lubił mnie i poważał. Z chwilą jak przybyłem do lekarza Fedorowskiego, pani Hanka – jego żona poprosiła mnie, byśmy zjedli kolację razem, a później będą sprawy służbowe. Przy kolacji wypiliśmy po 100 g jakiegoś koniaku. Potem pani Fedorowska poszła do kuchni, zostawiając nas samych. Rozpocząłem rozmowę na temat konspiracji. Dr Fedorowski uśmiechnął się z lekka i powiedział, że w Polsce za Sanem już dawno istnieje konspiracja i dają wciry szwabom. Wyszedł na chwilę i podał mi gazetkę z ubiegłego tygodnia. Trochę się zdziwiłem, że on też już korzysta z naszych gazetek. Rzuciłem na nią okiem i powiedziałem, że już ją czytałem. Jak mi później oświadczył, od dawna czyta gazetki. Po rozmowie o sprawach służbowych przeprosił mnie, wyszedł na chwilę przynosząc wódkę (koniak) i herbatę. Po wypiciu tego koniaku i herbaty zaproponowałem mu, ażeby wstąpił w szeregi konspiracji. Bardzo chętnie się zgodził, a nawet ucieszył się. Zaraz na miejscu złożył ślubowanie. Powiedziałem, jaką pełnię funkcję w konspiracji, a ponieważ on ciągle jest w terenie i ma możność swobodnego poruszania się, powierzyłem mu funkcję drugiego oficera wywiadu. To mu odpowiadało. Na drugi dzień, tj. w niedzielę, na odprawę-naradę zabrałem lek. Fedorowskiego, ps. „Lis". Nasze narady odbywały się u rolnika Linderskiego w bardzo zacisznym miejscu (gospodarka otoczona pięciohektarowym sadem); można tam było wejść i wyjść niepostrzeżenie. Koledzy bardzo się ucieszyli, że pozyskaliśmy tak ważnego członka.

Do końca 1942 r. mieliśmy już przeszło stu ludzi, z czego 80% posiadało broń. Najlepiej uzbrojona była czysto polska wieś Pyszówka koło Krakowca. Drużyna liczyła około 25 ludzi z dwoma ckm. Wieś ta przeżyła ciężką noc – napad banderowców (o czym później napiszę). Cała konspiracja rekrutowała się przeważnie z chłopów (ponad 80%); reszta to robotnicy, rzemieślnicy i inteligencja pracująca. Na terenie powiatu Jaworów Ukraińcy są panami całej sytuacji. Władza w ich ręku. Powiat Jaworów podlegał „Kreishauptmanschaft" w Sądowej Wiszni, gdzie był kierownikiem volksdeutsch (z pochodzenia Ukrainiec), który szedł bardzo na rękę Ukraińcom. Polaków nienawidził, a zwłaszcza Żydów. Naród żydowski cierpiał biedę. Nie mieli co jeść. Biedne dzieci chodziły głodne, żebrząc o kawałek chleba lub parę ziemniaków. Polacy chętnie pomagali, również niektórzy Ukraińcy nie będący nacjonalistami.

W tym czasie szeregi nasze ciągle rosły i broni coraz więcej przybywało. Mieliśmy nadzieję, że nastąpi zmiana, że Niemcy zostaną rozbici. Radio londyńskie podawało dobre wiadomości; to nas podtrzymywało na duchu. Z ludnością żydowską było coraz gorzej. Niemcy i Ukraińcy postanowili już na dobre pastwić się nad nimi. Żydom brakowało żywności. Poza obręb miasta nie wolno im było wychodzić. Sprzedawali za bezcen swoje rzeczy i zamieniali na żywność. Ludność ukraińska wykorzystywała Żydów jak mogła. Policja niemiecka i ukraińska robiła ciągle rewizje, zabierając wszystkie wartościowe rzeczy. Kreishauptman wydał zarządzenie, że ludność żydowska ma do 24 godzin złożyć gotówkę, złoto, srebro, dolary itp. Powołany komitet żydowski zbierał to wszystko i w oznaczonej godzinie oddawał władzom niemieckim. Takich zarządzeń było kilka. Komitet żydowski, bojąc się o własną skórę, bardzo rygorystycznie podchodził do swoich braci. Żydzi prawie nie wychodzili z mieszkań z obawy przed Niemcami i wyrostkami ukraińskimi, którzy poszturchiwali starszych, a nawet i dzieci. Daty nie pamiętam, kiedy z ulicy Cerkiewnej przesiedlono Polaków i Ukraińców. W nocy całą tę ulicę otoczono drutem kolczastym, a następnej nocy przesiedlono tam wszystkich Żydów – tworząc getto. Po południu, jeszcze przed przesiedleniem ich do getta, kazano wszystkim Żydom zebrać się w synagodze. Był to duży i piękny gmach. Kazano im zabrać ze sobą wszystkie biblie i książki do modlitwy i złożyć na samym środku synagogi. Całą ulicę obstawiono strażą pożarną i policją niemiecką oraz ukraińską. Kiedy już tam byli wszyscy Żydzi, kazano im się głośno modlić. Ludność, która przypatrywała się temu wszystkiemu, odpędzono dalej od synagogi. Policja wylała benzynę na stos książek i podpaliła je, zamykając drzwi za sobą. Wewnątrz powstał pożar. Biedni Żydzi zaczęli krzyczeć, lamentować. Dym przedostał się przez okna na zewnątrz. Część ludności, która przypatrywała się temu wszystkiemu, zaczęła się rozchodzić. Niektórzy to nawet płakali. Nacjonaliści ukraińscy cieszyli się i śmiali. Kiedy już pożar zaczął na dobre rozszerzać sie na zewnątrz – Niemcy kazali otworzyć drzwi od synagogi. Powstał wielki tłok, wszystko parło do drzwi. Wynoszono omdlałych starców. Na szczęście kobiet i dzieci tam nie było, tylko sami mężczyźni – paręset osób. Wypuszczonym Żydom kazano biec do domu. Niektórzy policjanci ukraińscy okładali pałkami biegnących Żydów. Synagoga płonęła, a kiedy ogień zaczął wydostawać się na zewnątrz, straż pożarna przystąpiła do gaszenia ognia. Synagoga spłonęła, pozostały tylko mury i część dachu. W samym mieście powstał

wielki popłoch. Polacy mówią, że i nam przyjdzie to cierpieć. Biedni Żydzi są wszyscy w getcie, a pozostali na miejscu tylko dwaj lekarze, dwaj dentyści i aptekarze, którym nie wolno nigdzie wychodzić ze swego miejsca pracy. W tym czasie wysłałem kurierkę do Lwowa, meldując jak zwykle o ruchach wojsk niemieckich i sytuacji, jaka panuje na terenie powiatu. Stan ludzi powiększył się, tylko za mało broni i amunicji. Na razie Polakom dają spokój. Po powrocie kurierki ze Lwowa dostałem rozkaz pobrać z Gródka Jagiellońskiego dwie skrzynie granatów, beczkę benzyny, amunicję do automatów oraz jedną instrukcję robienia butelek z benzyną na czołgi. Postanowiłem, że pojadę z ob. Antonim Głabą. Ob. Głaba – dowódca IV plutonu, jeden z najodważniejszych, z zadowoleniem przyjął mój rozkaz. Brat ob. Głaby również był w jego plutonie, chętnie dał swoje dwa konie z wozem do naszej dyspozycji. W oznaczonym dniu nad ranem wyjechaliśmy z Ożomli polnymi drogami przez Sądową Wisznię do Gródka Jagiellońskiego. W Gródku Jagiellońskim przed szlabanem wyszedł wartownik niemiecki z budki, przeszukał wóz i puścił nas dalej. Przed wyjazdem do Gródka Jagiellońskiego, będąc u wójta Szczepanowskiego w Ożomli w biurze Sammelngemeinde, udało mi się przybić pieczątkę in blanco na papierze na którym wypisałem przepustkę, że jadę po towar do Gródka dla sklepu „Kooperatywa" w Ożomli.

W oznaczonym miejscu w Gródku Jagiellońskim z trudem załadowaliśmy beczkę blaszaną benzyny (200 litrów), 2 skrzynie – 300 granatów i amunicję różną. Poszedłem do „Kooperatywy" ukraińskiej, kupiłem kilka butelek wódki, parę garnuszków fajansowych, prosząc o rachunek, który otrzymałem z pieczątką. Pomyślałem sobie, że teraz jestem panem sytuacji. Postanowiłem wracać wieczorem do Ożomli.

Przed wyjazdem wypiliśmy dla odwagi pół butelki wódki, a niedopitą mam w kieszeni. Wódkę i garnuszki zapakowałem do skrzynki ze sianem. Jedziemy prosto szosą. Umówiliśmy się, że wieziemy towar do sklepu i będziemy udawać przed kontrolującymi, że Głaba jest pijany. W tym samym miejscu, jak przedtem, zatrzymuje nas niemiecki wartownik. Stanąłem z wozem przed samym szlabanem tak, że wartownik niemiecki musiał iść do nas parę kroków. Ja wyrwałem celowo lejce ob. Głabie, krzycząc do niego, dlaczego nie zatrzymał konia. Do wartownika powiedziałem: „er ist ganz besoffen – viel wódka trinken"[1]; przy tym uderzyłem Głabę po karku. Niemiec pyta się, gdzie jedziemy i co wieziemy. Odpowiedziałem mu, że wieziemy towar do sklepu, tj. petroleum, garnuszki, trochę wódki i inne drobne artykuły, przy czym pokazałem mu pismo z Sammelngemeinde i rachunek z „Kooperatywy". Wartownik niemiecki popatrzył, oddał mi z powrotem. Po oddaniu mi papierów lekko włożył rękę do skrzyni z garnuszkami i wódką, zrobił przyjemną minę. Głaba kręci się na wozie udając podpitego, wyciąga ½ litra wódki i daje Niemcowi mówiąc: „zimno, trzeba trinken". Żołnierz obejrzał się, chwycił butelkę i powiedział: „danke, bitte weiter fahren"[2].

Ruszyliśmy dalej drogą. Teraz na razie jesteśmy panami sytuacji, a w następnym punkcie kontrolnym Sądowa Wisznia to już nie ma obawy. Po drodze wypiliśmy trochę wódki, zjedliśmy trochę i jedziemy dalej. Jest dość zimno, pada deszcz ze śniegiem, godzina jest już około 16 lub 17. Po drodze planujemy co z tymi artykułami zrobimy i gdzie je na razie ulokujemy. Postanowiłem to wszystko złożyć w Ożomli, tj. u mnie w drewutni, a rano lub wieczorem załadujemy i odwieziemy do Jaworowa i złożymy u lekarza Fedorowskiego, również w dużej drewutni, gdzie ma drzewo i króliki, o czym przed wyjazdem już rozmawiałem z lek. Fedorowskim, a on chętnie się zgodził. Było już ciemno, kiedy przejeżdżaliśmy przez Sądową Wisznię. Droga prowadziła koło dworca kolejowego i trzeba było przejeżdżać przez tory (prowadzące do Ożomli i Jaworowa, tj. 18 km przez las).

Przed dworcem kolejowym w Sądowej Wiszni zauważyliśmy, że stoją dwa bardzo długie pociągi towarowe. Jeden pociąg z wojskiem na Lwów, a drugi – towarowy – na Przemyśl. Niemcy zrobili objazd o jakie 1½ km od przejazdu toru kolejowego na Jaworów. Droga tak zniszczona, że trudno przejechać. Musieliśmy czekać z 15 minut, ponieważ szlaban kolejowy był opuszczony. Jest bardzo ciemno, deszcz ze śniegiem pada. Przed wjazdem do lasu stała nieczynna fabryka cykorii, w której Niemcy mieli magazyny żywnościowe i tam właśnie stał żołnierz niemiecki, również kontrolując furmanki. Postanowiliśmy, że w czasie kontroli postąpimy tak samo jak w Gródku Jagiellońskim. Przejeżdżając koło tej fabryki zobaczyliśmy dwóch żołnierzy z automatami. Antoś Głaba mówi, że będzie chrzest, a jak będzie bardzo źle, jakby nas nakryli, to w łeb, a sami w las, innej rady nie ma. Mamy przy sobie wyciągnięte spod siedzenia moje parabellum odbezpieczone, konie zostawiamy. Zaznaczam, że Antoś uzgodnił z bratem, że jeśli by coś złego się stało, to brat jego nic nie wie; że niby to Antoś samowolnie zabrał konie. Niemcy na nasz widok przybliżyli się do wozu, oświetlili latarkami legitymując nas, pytali skąd i dokąd jedziemy. Odpowiedziałem, że do Ożomli wieziemy naftę i wódkę.

Jest bardzo ciemno i zimno, grzejemy się wódką. Antoś długo się nie namyślał, wyciągnął ze skrzynki butelkę i mówi: „niech panowie z nami wypiją". Niemcy chętnie wypili z garnuszka ½ litry, dali zapalić. Jedziemy dalej. Do Ożomli przyjechaliśmy około północy. Beczkę z benzyną zostawiliśmy na wozie, a skrzynię z granatami i amunicją schowaliśmy w drewutni u mnie. Antoś zabrał konie i poprowadził do domu. Następnego dnia rano załadowaliśmy znowu wszystko na wóz, nałożyliśmy sągowego drzewa i – jazda do Jaworowa! To wszystko złożyliśmy w oznaczonym miejscu bezpiecznym. W ciągu kilku dni granaty i amunicja zostały rozprowadzone po plutonach.

Szeregi nasze rosną, coraz więcej zdobywamy ludzi. Ponieważ powiat jaworowski jest wybitnie rolniczy, około 80% to chłopi w naszych szeregach. Ja pracuję nadal w Ożomli z Antosiem. Na razie jest spokój, nie ma żadnych podejrzeń na Polaków, że coś się robi. Meldunki regularnie wysyłam do Lwowa, o ruchach wojsk i sytuacji, jaka panuje na naszym terenie.

cdn.

[1] *w łamanej niemczyźnie: on jest całkiem pijany – dużo wódki pić*
[2] *niem.: dziękuję, proszę dalej jechać*



PÓŁKA Z KSIĄŻKAMI

Pozytywne zaskoczenie musi budzić bogata oferta wydawnicza przemyskich instytucji kulturalnych i naukowych. Zaskoczenie, ponieważ Przemyśl nie należy ani do największych miast, ani nie jest ośrodkiem uniwersyteckim. A jednak w grodzie nad Sanem ukazuje się co roku wiele czasopism i książek stojących na wysokim poziomie merytorycznym i edytorskim.

Przybliżmy naszym Czytelnikom działalność wydawniczą **Archiwum Państwowego w Przemyślu**, mieszczącego się przy ul. Lelewela 4, adres strony internetowej: *www.przemysl.ap.gov.pl*, *e-mail: archiwum@przemysl.ap.gov.pl*.

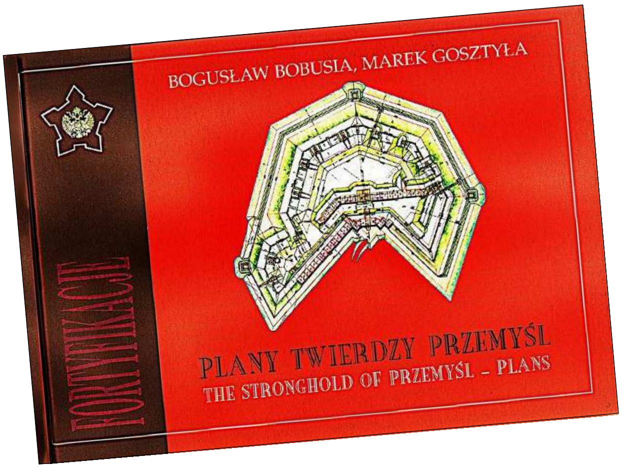
Instytucja ta, kierowana przez **Dyrektora mgra Bogusława Bobusię**, poleca następujące, przysłane nam wydawnictwa:

1. Łosowska Anna, *Pennae investivi Praemisliae. Notariusze kancelarii kościelnych, pisarze sądów oraz urzędów świeckich w XV i na początku XVI wieku*, Przemyśl 2011.
2. *100 lat harcerstwa przemyskiego*, praca zbiorowa, red. Anna Nowak, Przemyśl 2010.
3. **Bogusław Bobusia, Marek Gosztyła, Lech Lichołai, *Plany Twierdzy Przemyśl. Cz. 1, Przemyśl 2004, cz. 2, Przemyśl 2006 i cz. 3,* Przemyśl 2010.**
4. *Rocznik Historyczno-Archiwalny*, tom 21, Przemyśl 2010.
5. Ewa Grin-Piszczek, *Wanda Kaput*, Przemyśl 2010.
6. Zdzisław Konieczny, *Polacy i Ukraińcy na ziemiach obecnej Polski w latach 1918–1947. (Zarys problematyki)*, Przemyśl 2010. Książkę tę firmują: Archiwum Państwowe w Przemyślu, Polskie Towarzystwo Historyczne – Oddział w Przemyślu, Przemyskie Towarzystwo Archiwistyczne „Archiwariusz” w Przemyślu.



<<< >>>

Na szczególną uwagę zasługuje wydawnictwo wymienione w p-cie 3. Czytelnicy interesujący się tym tematem zapewne wiele już czytali, mają też w swych domowych biblioteczkach sporo pozycji – tak wiele przecież na przestrzeni lat – publikowanych.



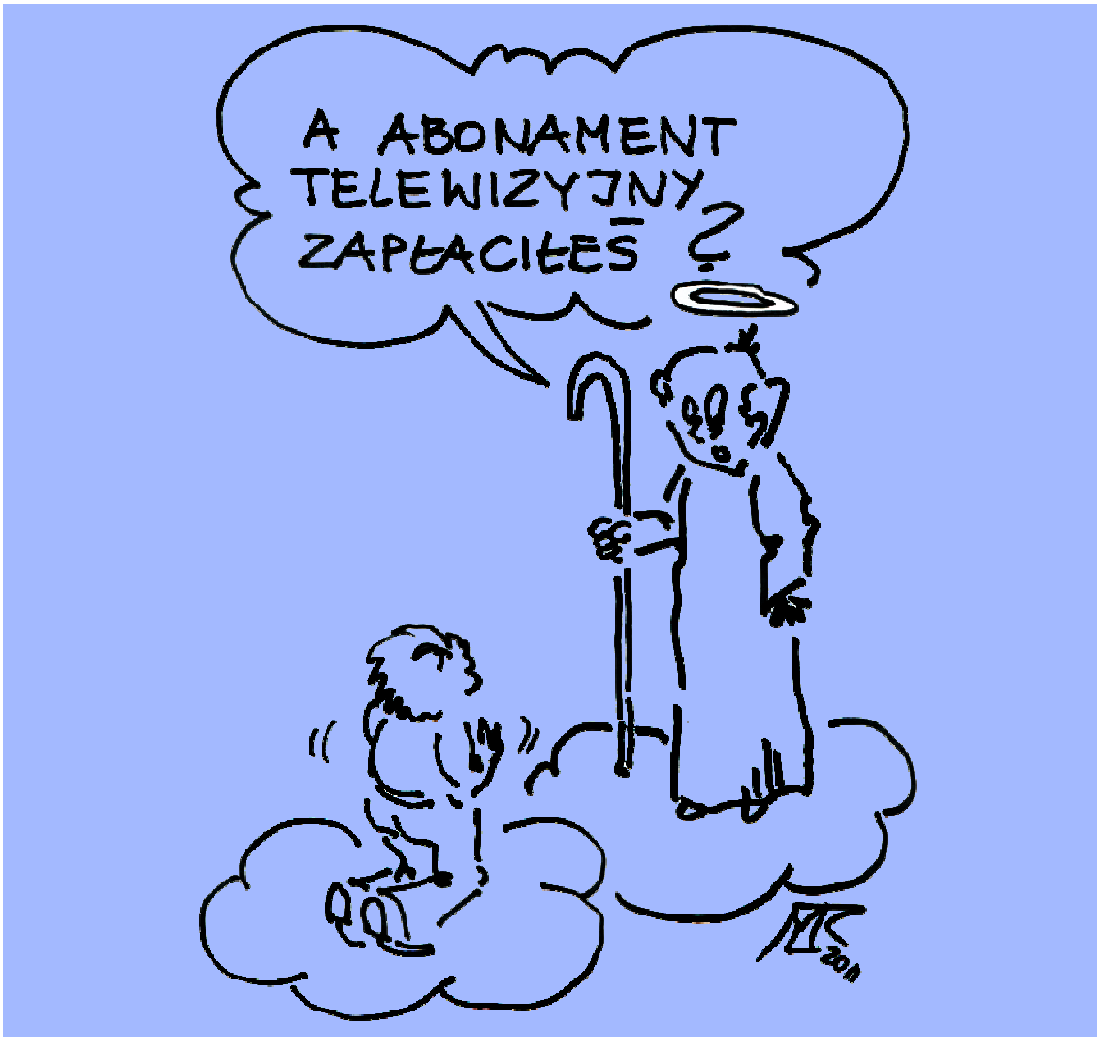
To wydawnictwo jednak jest szczególne. Zaskoczy i zadziwi nie tylko piękną edycją, ale przede wszystkim bogactwem treści: ogromną ilością archiwalnych reprodukcji planów, dokumentów, map i fotografii (także współczesnych). Wszystko zaopatrzone starannym komentarzem i informacją czy wyjaśnieniem.

Jest to niewątpliwie kompletny archiwalny materiał dotyczący Twierdzy Przemyśl, tak starannie, szczegółowo zebrany i opracowany przez Autorów.



Redakcja

Michał Kozera rysuje



Humor żydowski

W miasteczku galicyjskim zmarł długoletni prezes gminy wyznaniowej. Na żałobnym posiedzeniu rady sekretarz kahału wygłosił następujące przemówienie:

–Tak, moi panowie! Jeżeli dzisiaj zawieszamy tu, w sali posiedzeń rady, portret nieboszczyka, to spełniamy tylko święty obowiązek, który właściwie ciążył na nas od dawna.

Człowiek ten jeszcze za życia zasługiwał na to, aby wisieć w miejscu, gdzie rozwijał swą działalność.

<<< >>>

W mieście Stanisławowie obowiązywał od niepamiętnych czasów zwyczaj wygłaszania mów na pogrzebach wszystkich bez wyjątku zmarłych. Aliści zdarzyło się, że zmarł śmiercią gwałtowną niejaki Naftula. Był to łajdak, oszust, opryszek, rajfur i w ogóle grzesznik przeokropny. Nikt z grona dostojników kahału nie chciał podjąć się wygłoszenia owych nieodzownych trenów na cześć rzezimieszka, a ciało leżało już na podłodze bite dwie doby. Wyznaczono więc nagrodę pieniężną dla człowieka, który o umarłym powie choć parę pochlebnych słów.

Na trzeci dzień zgłosił się do kahału pewien woziwoda.

– Nieście go na cmentarz – powiada – już ja o nim powiem coś dobrego.

W czasie pogrzebu, stanąwszy nad otwartym grobem, przemówił w te słowa:

– Rabojsaj! Co tu dużo gadać? Wszyscy wiecie, kim był błogosławionej pamięci Naftuła. To był oszust, opryszek, rajfur i grzesznik przeokropny. Pytacie zatem, co ja mogę o nim dobrego powiedzieć? Otóż to, że pozostawił po sobie dwóch takich synalków, że on przy nich to był sam świątobliwy cadyk

STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA w Krakowie

Adres: ul. Ułanów 46/151, 31–455 Kraków, *tel.:* 0124113493, 601961488, *e-mail:* czq@onet.pl
Rachunek bankowy: PKO BP SA. I Oddział w Krakowie, *Nr konta:* 76 1020 2892 0000 5002 0160 1236
Redakcja: Czesław Kudła – *red. nacz.*, M. Frodyma, M. Kozera. Współpraca: Z. Ostrowski, J. Schubert, A. Sarkady. A. Stanok

WYDAWNICTWO WEWNĘTRZNE ***STOWARZYSZENIA PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA w KRAKOWIE***

MOŻE UKAZYWAĆ SIĘ NIEREGULARNIE

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania nadesłanych tekstów. Prezentowane poglądy nie zawsze zbieżne są z poglądami redakcji.